

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki – w szkole podoficerskiej

Po tygodniowym pobycie w 7. kompanii wytypowali mnie do szkoły. Sam Głuchow obejrzał mnie ze wszystkich stron, poprawił na mnie mundur, pas, czapkę i doprowadził na miejsce egzaminu. Egzaminator kazał mi przeczytać kawałek tekstu z regulaminu, podyktował trzy zdania, dał do wykonania proste obliczenia, na przykład odejmowanie na liczbach całkowitych ze sprawdzeniem. Taki egzamin mógł złożyć każdy po ukończeniu 4 oddziałów szkoły ludowej. Tylko jednego kandydata oblali.

Zabrałem swoje rzeczy ze składu mundurowego i udałem się do szkoły, która mieściła się w tym samym domu na parterze. Przydzielono mnie do trzeciego plutonu, którego dowódcą był plutonowy rezerwy Cymbariow, a drużynowym młodszy podoficer Mlikow. Szefem szkoły był sierżant Potapow z rezerwy. Komendantem szkoły był kapitan Bielajew a nauczycielem podchorąży Ormatowski. Nasz 3. pluton rozlokował się w domu zarekwirowanym po szkole handlowej. Tu tylko nocowaliśmy, ale już na łózkach, sienniku pokrytym prześcieradłem i poduszką z siana. Nauczyciel mieszkał u swoich rodziców. Ojciec jego był pułkownikiem przy sztabie batalionu (później przemianowany na 104. pułk rezerwy) do spraw gospodarczych. Plutonowy mieszkał obok naszej sypialni w oddzielnym pokoiku. Warunki socjalno-bytowe znacznie się poprawiły, ale sama służba stała się bardziej uciążliwa, rygor był stosowany do granic możliwości uczniów. Po pobudce i umyciu się musieliśmy pastą czyścić guziki u mundurów, buty, a potem biegiem udać się do budynku oddalonego około 400 metrów na śniadanie do wspólnej kuchni. Ćwiczenia marszowe, władanie bronią były prowadzone intensywnie, a rozkazy wykonywane skrupulatnie i szybko. Za najmniejsze uchybienia karali, stawiając w wolnym poobiednim czasie „pod karabinem”. Oficerowie i podoficerowie prześcigali się w gorliwym wykonywaniu swoich obowiązków w obawie przed wysłaniem na front, a to wszystko odbijało się na naszej skórze. Nawet lekarz stawiał wniosek na przykładne ukaranie, jeżeli nie stwierdził ciężkiej choroby ucznia, na sześć godzin „pod gwintówką” (karabinem).

Dnia 18 kwietnia 1915 r. wyruszyli żołnierze z mojej grupy Polaków, z którymi przyjechałem do Orenburga, po 25 dniach nauki na front, a z nimi mój sąsiad z Bęczyna Piotr Gozdalski. Za krnąbrność, arogancję i niedokładność ćwiczenia wydalili ze szkoły Krasińskiego z Gór i natychmiast wcielili do kompanii udającej się na front. Do batalionu przybyli nowi rekruci z dwóch roczników pospolitego ruszenia, ludzie starsi i mający swoje rodziny, aby po paru tygodniach ćwiczeń podzielić losy poprzedników.

W Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę nie mieliśmy ćwiczeń z karabinami. Po dwie godziny uczyliśmy się w szko-

le instrukcji służby garnizonowej i porządkowej. Reszta czasu była poświęcona na generalne porządki w koszarach przed Wielkanocą. W nocy z soboty na niedzielę cała szkoła pod dowództwem oficerów czwórkami udała się na nabożeństwo do cerkwi, gdzie zastaliśmy dużo ludzi. Cywilni mieszkańcy miasta kupowali w kruchcie cerkwi łojowe długie świece, a zapalone cienkie świeczki ustawiali na metalowej podstawie przed obrazem św. Mikołaja cudotwórcy. W cerkwi panował zaduch i smród spalanych świeczek i niedomytych ludzi. Przy ołtarzu archirej w asyście dwóch popów odprawiali modły, którym towarzyszył kilkugłosowy chór (organów na chórze w cerkwi nie ma).

Pierwszy raz byłem w cerkwi, z zainteresowaniem obserwowałem cerkiew, popów, ludzi. Treść modlitwy duchownych trudno było zrozumieć, gdyż modły duchownych i zebranych były śpiewane w języku staro-cerkiewnym. Zresztą i oni mało rozumieli. W pewnej chwili rozwarły się „wrota” i wszedł archirej, popi i diakoni oznajmiając wiernym śpiewem: „Christos wskres” (Chrystus zmartwychwstał). Zebrani w cerkwi chóralnie odpowiedzieli: „Wo istinu wskres” (Rzeczywiście zmartwychwstał). Tu w cerkwi zrobiło się małe poruszenie... zaczęli się wszyscy ludzie całować. Umówieni kawalerowie i panny wykorzystali ten moment, aby publicznie się pocałować. Następnie odbyła się procesja dookoła cerkwi, niosąc krzyż o dwóch ramionach i chorągwie z malowanymi na sztywnych tekturach obliczami prawosławnych świętych. Po nabożeństwie wróciliśmy czwórkami do głównych koszar. Tu dowódca kompanii pocałował się z szefem, a ten z plutonowymi, a ci z drużynowymi. Po tym każdy z nas otrzymał po kawałku „paschy” (placek z białej pszennej mąki przekładanej warstwą twarogu z koprem). Owszem, „pascha” nam smakowała. Była mocno słodka – mało kwaśna. W Wielką Niedzielę zajęć nie było. Otrzymałem pierwszy list z Urzędowa od mego najlepszego przyjaciela Stanisława Cieślika. List ten mocno mnie rozczulił. W drugim dniu świąt cały dzień „studiowaliśmy” różne instrukcje, zebrane w jednej dużej grubej książce: „Ustaw wojennej służby” (Instrukcja służby wojskowej). W następnym dniu znów to samo, „dryl wojskowy”.

Rok 1915. Boże Narodzenie – święto, lecz nie dla wszystkich. W pierwszych dniach udałem się do kościoła na nabożeństwo. Śpiew kolęd na chórze przypominał mi moje lata chłopięce w Urzędowie. Rozczuliłem się. Rozmyślałem o tym, co się dzieje w domu, w Polsce i mojej rodzinie. Jak moi domownicy czują się, jak żyją pod okupacją austriacką. Może źle, ale wszyscy razem, a ja sam jeden, obcy pogrążony w żywiole rosyjskim i tatarskim. Jak przykro żyć, nie słysząc całymi miesiącami

słowa polskiego ani wyrazu współczucia. Przy każdej okazji słyszałem tylko przycinki, kpiny z nas Polaków, że Polskę sprzedaliśmy za kubek zsiadłego mleka, a „poluczek” jest wrogiem Rosji i szpiegiem austriackim lub niemieckim. Po zakończonym nabożeństwie zebrało się nas kilku Polaków na cmentarzu kościelnym z dala od bramki wyjściowej. Popatrzyliśmy jeden na drugiego z politowaniem. Jeden z żołnierzy wyciągnął kawałek opłatka z zawiniętej gazety, przysłanego przez rodziców. Łamaliśmy się na drobnutkie kawałeczki i dzieliliśmy się opłatkiem, życząc sobie nawzajem prędkiego powrotu do swoich rodzin. Pogawędziliśmy kilkanaście minut, ucałowali i wrócili do swoich jednostek wojskowych, gdyż czekały nas codzienne ćwiczenia.

W Nowy Rok również zebraliśmy się i to w większej liczbie niż poprzednio. Dzieliliśmy się wiadomościami z frontu. Jeden z żołnierzy przekazał nam list z domu – przywędrował za pośrednictwem PCK przez Sztokholm w Szwecji. Przeanalizowaliśmy treść, skomentowali, pogawędziliśmy i znowu rozeszliśmy się do zajęć popołudniowych w swoich rotach (jednostkach). Takie spotkanie zbawiennie wpływało na naszą psychikę. Poczuliśmy, że nie jesteśmy samotni, skazani na zagładę. Szkoda tylko, że te zebrania odbywały się coraz rzadziej, gdyż wprowadzono obowiązkowe ćwiczenia przez całą niedzielę.

Wigilia 1916 roku. O godz. 11.30 wyruszyłem sam z koszar (kolega Stańczyk nie wstąpił po mnie) do kościoła na przepustkę. Noc pogodna, cicha, mróz –30°C poprzez zimową odzież dobiera się do skóry, buty na zamrożonym śniegu skrzypią. Kilkanaście minut spóźniłem się, ksiądz przy ołtarzu celebrował nabożeństwo, organy wtórują kołędą śpiewanym przez mieszaną chór. Ciepło, miło, przyjemnie w tej polskiej atmosferze tak, jak to w Urzędowie. Przed odejściem od ołtarza po nabożeństwie ksiądz zaintonował „Anioł pasterzom mówił”. Organista pan Barwa (po wojnie był organistą w Urzędowie) włączył organy, zebrani w kościele podchwycili i zaczęli zgodnie śpiewać. W pewnym momencie do tej melodii wkraśl się jakiś dysonans. Ktoś śpiewa inne wyrazy i całkiem inną melodię. W kościele nastąpiła konsternacja, część ludzi w kościele przerwała śpiewanie kołedy. Wtedy dało się słyszeć „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...”. Jakis czas część ludzi śpiewa kołedę, a część polską pieśń patriotyczną, zaintonowaną przez oficerów Polaków, jeńców z wojska austriackiego. Jakis pan w cywilu tłumaczył oficerom, że tu nie miejsce na takie wystąpienie. Organista wykorzystał ten moment i zagrał na organach kołedę *fortissimo* i zagłuszył oponentów. Na cmentarzu kościelnym za dużym ołtarzem wojskowi Polacy 104., 105., 238. pułku dzieliliśmy się opłatkiem z życzeniami prędkiego zakończenia wojny i jak najszybszego powrotu do domu.

Nowy 1917 rok rozpocząłem nabożeństwem w kościele katolickim. Po obiedzie ze Stańczykiem udaliśmy się dorożką za 1,5 rubla do baraków położonych daleko za miastem. Pierwsze kroki skierowaliśmy do szpitala, gdzie leżało około 10 młodych ludzi z różnych pułków, legionistów i jeden starszy. Barak ze strony zewnętrznej i wewnątrz sprawiał przyjemne wrażenie. W powietrzu unosił się orzeźwiający zapach żywicy. Chorzy leżą w czy-

stej pościeli na pojedynczych łózkach. Barak oświetlony elektrycznym światłem, podłoga czysto wymyta. Niektóre łóżka są nakryte kocami z literami P.O.W. (Pomoc Oficerom Wojny). Tu przyjęto nas gościnnie herbatą z białym chlebem. Rozmawialiśmy o tym, co się obecnie dzieje za kordonem w Polsce. Dowiedziałem się, że Niemcy tworzą „Polskę”. Legiony Piłsudskiego wkroczyły do Warszawy, na „króla” przewidziany jest arcyksiążę austriacki Karol. Ta „Polska” ograniczała się do zaboru rosyjskiego. Niemcom chodziło o to, aby formalnie pobrać rekrutów i wzmocnić stan liczebny wojsk austro-niemieckich. Posiliwszy się, podziękowaliśmy za gościnę. Umówiłem się z podoficerem Wolińskim z 238. pułku i postanowiliśmy wracać do koszar. Początkowo brnęliśmy po kolana w śniegu przez pola, a potem udeptaną ścieżką forsownym krokiem pomiędzy wagonami dotarliśmy do jakiejś bocznej uliczki, omijając stację kolejową, aby nie wpaść w ręce polowej wojskowej żandarmerii (nie mieliśmy przepustek). Tak doszedłem do swoich koszar.

Przysięga. W niedzielę 25 kwietnia 1915 r. od samego rana krzątania w szkole: gruntowne mycie, czyszczenie butów, wkładanie nowych polowych mundurów, zapinanie nowych pasów, zakładanie nowych czapek. Ruszyliśmy czwórkami w takt werbla do sztabu pułku. Po dłuższym oczekiwaniu wyniesiono sztandar pułkowy. Na komendę zaprezentowaliśmy broń i udaliśmy się na duży plac przed cerkwią. Na czele pochodu maszerował adiutant pułku z obnażoną szablą, za nim sierżant ze sztandarem, a obok niego plutonowy z karabinem, za nimi siedl dowódca szkoły, a my zamykaliśmy ten pochód. Na placu zastaliśmy dużo wojska, które też miało złożyć przysięgę. W środku prostokąta był sztandar, a obok niego asysta i duchowny prawosławny ubrany w szaty liturgiczne. Wyznania katolickie, mahometanie i luteranie ustawili się w dwuszeręgu. Mahometanie zostali odprowadzeni na bok. Do katolików i luteranów odezwał się adiutant: „Wasi duchowni są tu nieobecni, dlatego dana władza. Czy zgadzacie się złożyć przysięgę na ręce prawosławnego duchownego?”. Nie oczekując na naszą odpowiedź, włączył luteran i katolików do szeregu prawosławnych do wspólnej przysięgi. Po odpowiednim patriotycznym przemówieniu podchodziliśmy parami do ucałowania krzyża, Biblii i sztandaru, za pierwszą parą przechodziła druga itd. Padła komenda: „Prezentuj broń, do nogi broń, na ramię broń, krokiem marsz” i pomaszerowaliśmy do koszar na dobry obiad. Po obiedzie zajęć nie było. Tak więc zostałem już pełnym żołnierzem i miałem pełnić służbę „na chwałę cara i ojczyzny”. W tym dniu otrzymałem 9,37 rubli za bieliznę.

Stosunek do mnie i do Polaków.

1. W czasie naszych zajęć w szkole, na placu ćwiczebnym i na stepie, do pilnowania koszar na czas naszej nieobecności był wyznaczony żołnierz – Tatar. Jego obowiązkiem było wykończenie sprzątania sypialni i pilnowanie dobytku w koszarach. Miał dużo wolnego czasu, który umiał dla siebie dobrze wykorzystać. Codziennie chodził na „bazar” i sprzedawał różne rzeczy. Ja zostałem w przedpokoju między szkolnymi ławkami palto i ubranie związane w jeden tobolek z myślą wysłania tych rzeczy do domu. Nigdy nie miałem czasu pójść na pocztę,

a w dodatku nie miałem pieniędzy na koszt przesyłki. Te moje rzeczy leżały kilka tygodni, aż pewnego wieczoru po moich rzeczach nie zostało śladu. Żołnierz ten tak pilnował przed złodziejami, że sam ukradł i sprzedał na bazarze. Powiadomiłem swego nauczyciela. Ten nawet nie zapytał Tataro o zaginięcie, a skoczył na mnie: „A na co ci cywilne ubranie? Pewnie chciałeś się przebrać i uciec z wojska”.

2. W czasie ćwiczeń na stepie pomyliłem się w kierunku marszu (byłem ostatnim w dwuszerogu). Plutonowy doskoczył do mnie, pociągnął za nos i powiada: „Oto w tym kierunku należało maszerować”. W pierwszej chwili miałem go trzasnąć kolbą karabinu, ale się zre-flektowałem, że to byłby czyn, za który byłbym musiał grubo zapłacić. Znienawidziłem wszystkich służbistów.

3. W nocy zawsze musiał dyżurować żołnierz przy drzwiach wiodących na ulicę. Noc majowa, ciepła, jasno świecił księżyc. Początkowo obserwowałem wieczorowe życie na ulicy. Na tej bocznej ulicy mało było przechodniów, spacerujących par. Od stania przez dłuższy czas rozboleły mnie nogi. Siadłem na schodkach, organizm upomniął się o swoje prawo – odpoczynek. Po półgodzi-nym siedzeniu oparłem się łokciem o stopień schodów i zdrzemnąłem się. Przez sen słyszę na ulicy mocne równomierne kroki i brzęk ostróg. Zerwałem się i stanąłem oko w oko z dyżurnym oficerem. Ten pyta: „Dlaczego ty nie stałeś w drzwiach? Jak się nazywasz?” przy świetle

lampki kieszonkowej zapisał i poszedł dalej. Na drugi dzień mój przełożony powiedział mi o mojej niedbałej służbie i wyznaczył służbę we drzwiach na drugą noc. Więc dwie doby nie spałem.

4. Zaczęliśmy pełnić wartę przy różnych obiektach wojskowych. Dowódcą warty był nasz nauczyciel. Wartę pełniłem przy magazynie mundurowym. Jedno okno, a właściwie okiennica była uchylona, o czym powia-domiłem rozprowadzającego. Zjawił się dyżurny oficer i zwrócił się do mnie: „Ty źle trzymasz karabin, pokażę ci, daj karabin”. Odpowiedziałem mu, że karabinu z rąk nie wypuszczę choćby mi nawet sam generał kazał. Oficer odszedł powiedziawszy, że dobrze zrobiłem.

5. 15 maja na lekcji nauczyciel mówił o szpiegostwie, twierdząc, że niepowodzeniom na froncie w dużej mierze są winni Żydzi i Polacy, gdyż o wszystkich posunięciach taktycznych powiadamiają Austriaków i Niemców. Miał jeszcze o tym mówić szerzej, ale swój wykład prze-rwał, pytając, czy w szkole są Polacy. Odpowiedziałem, że są. Pytał mnie dalej, czy Polacy naprawdę są tchó-rzami i z jakiej okolicy pochodzą. Na pierwsze pytanie odpowiedziałem: „Nie wiem”, a na drugie, że jestem z lubelskiej guberni. Tego samego zdania są inni żołnie-rze, posądzają Żydów i Polaków o szpiegostwo na rzecz Niemców.

*Wybrał i opracował
Tadeusz Surdacki*

Jan Lucjan Kochanowski

Łopienniccy sąsiedzi

Poczynając od północy, Łopiennik graniczył z Kępą – był to 140-hektarowy majątek należący do sióstr Jani-szewskich, kuzynek mojej mamy. Obie były staruszkami, a majątkiem administrował pan Lakutowicz.

Bardziej na wschód leżała Kłodnica, spora wioska z ko-ściołem i majątek ziemski pana Russanowskiego, a dalej aż po Wilkołaz Mazurkiewiczów ciągnęły się chłopskie lasy. Na wschodzie były Popkowice Piaseckich, z który-mi nie wiem dlaczego nie utrzymywaliśmy stosunków towarzyskich. Byli oni właścicielami browaru, ale nie przypominam sobie, aby u nas było kiedykolwiek pite w domu piwo, a nasz chmiel z kilkuhektarowej plantacji trafiał do ich browaru. Sprowadzali oni bowiem chmiel prosto z Anglii.

Przycoczę tu pewien ewenement, jakoby prawdziwy. Mianowicie kiedy do wielkich jutowych worów pakowano w Łopienniku wysuszone chmielowe szyszki, jednemu z pakujących wpadła do wora czapka i już nie udało się jej wyciągnąć. Ta sama czapka znalazła się później w pop-kowickim browarze w chmielu importowanym z Anglii w worach z oryginalnym oznakowaniem angielskim.

Za Popkowicami i Leszczyną, bardziej na południe leżały Skorczyce – majątek ziemski Jana Hempla. Pan Hempel chorował chyba na cukrzycę i rokrocznie jeździł

na kuracje do sanatorium w Truskawcu. Dopiero po powrocie z sanatorium udzielał się towarzysko i wtedy odwiedzaliśmy go. Bardzo lubiłem wizyty w Skorczycach, bo było tam wiele interesujących mnie rzeczy. Mianowi-cie w parku były dobrze zachowane okopy szwedzkie, a w jednym z pomieszczeń dworskich różne ciekawe znaleziska.

Na zachodzie przy drodze do Radlina było spore gospo-darstwo rolne pana Orła, który co tydzień wypożyczał do czytania z łopiennickiej biblioteki całe naręcze książek. Jego ojciec, staruszek, był przyjacielem Wincentego Wi-tosa i swojego czasu posłem na sejm.

Majątek ziemski Radlin należał do Gosiewskich, a było tam chyba jedenaścioro potomstwa, między nimi moja babcia Maria z Gosiewskich Kochanowska. Przed wojną właścicielem Radlina był pan Boduszyński żonaty z siostrą babci Stefanią.

Za Radlinem był Ratoszyn – własność krewnych stry-jenki Hanny z Nowakowskich. Na kilka lat przed wojną zadłużony Ratoszyn wykupił od Nowakowskich ówczesny minister poczty i telegrafów Libicki. Z jego córką, bodajże Magdą, przyjaźniła się moja siostra Izabella.

Dalej na północnym zachodzie ciągnęły się aż po Kępę bagniste rozlewiska rzeczki Chodlik, która praktycznie

biorąc wypływała z odległej o 100 m od łopiennickiego dworu sadzawki, a dalej już jako spora lubelska rzeka Chodelka wpadała pod Kazimierzem do Wisły.

Ciekawy był łopiennicki układ parafialny obowiązujący podobno od średniowiecza. Otóż wieś należała do parafii urzędowskiej a odległość do tamtejszego kościoła wynosiła 10 km, natomiast dwór łącznie z czworakami – do parafii w Ratoszynie, gdzie na tamtejszym cmentarzu parafialnym znajduje się nasz rodzinny grobowiec. Odległość do ratoszyńskiego kościoła wynosiła 7 km. Najbliżej nas był tymczasem kościół w Kłodnicy – nieco ponad 3 km. Z księżmi z parafialnego Ratoszyna utrzymywaliśmy dość luźne stosunki. Przyjeżdżali zawsze na Wielkanoc, aby poświęcić wspólnie nam i ludziom z czworaków „święcone”. Podczas okupacji przez pewien czas proboszczem był ukrywający się kapelan wojskowy. Dość częstym gościem w Łopienniku był pochodzący z ziemiańskiej rodziny bardzo sympatyczny i towarzyski ksiądz kanonik Biernacki z Chodla. Ten dzielny kapłan pomagał dużo chodelskim Żydom, którzy przed wojną stanowili ponad 30% mieszkańców tego miasteczka.

Przed I wojną światową Łopiennik należał do gminy Urzędów w powiecie janowskim, w okresie międzywojennym do gminy Chodel, a obecnie do gminy Borzechów w powiecie lubelskim. Muszę tu dodać, że w tamtejszym ilustrowanym kwartalniku „Nasza Gmina Borzechów” drukowane są fragmenty książki mojego autorstwa *Sztauer z lubelskiej wioski*.

Mimo że ojciec jeździł raz w tygodniu do Chodla, gdzie pracował honorowo w Urzędzie Gminnym (przyznam się, że nie wiem jaką tam pełnił funkcję), to dwór gospodarczo związany był z Urzędowem. Do urzędowskiej mleczarni dostarczane było codziennie w bańkach nasze mleko, a w doskonale zaopatrzonej tamtejszej „Społem” dokonywane były wszelkie zakupy. Sprawy finansowe

załatwiał ojciec w urzędowskiej Kasie Stefczyka. Rodzice zabierali mnie czasem do Urzędowa i do dzisiaj nie mogę zapomnieć smaku doskonałych lodów, które podawano tam w dużych szklankach.

Powodem do zapraszania sąsiadów były urządzone przez ojca polowania z nagonką, jesienne na kuropatwy i zimowe na zające. Tych polowań było 5–6 rocznie. Zwyczajowo ojciec zapraszał na nie doktora Słęka z Opola i generała Mieczysława Smorawińskiego, komendanta DOK (Dowództwo Okręgowego Korpusu w Lublinie). Gdy skończyłem 10 lat, chodziłem już w nagonce. Wówczas imponowała mi pokaźna „łączka” baretek orderowych generała, który zawsze polował w mundurze. Tę samą „łączkę” widziałem po latach w telewizji przy ekshumacji mogił katyńskich. Mogiła generałów Smorawińskiego i Bohatyrewicza była usytuowana osobno, z dala od mogił zbiorowych i stał nad nią krzyż wzniesiony przez okoliczną ludność.

Po zakończonym polowaniu myśliwi byli zapraszani na obiad. Część z nich wracała po obiedzie do swoich domów a część siadała do zielonych stolików i grała w brydża do samego rana. Rozjeżdżali się dopiero po zjedzeniu „podkurka” czyli bardzo wczesnego śniadania.

Na uroczystości rodzinne (imieniny) nikogo specjalnie nie zapraszano. Zjeżdżała wówczas rodzina z Radlina i Moniak, natomiast na wakacje przyjeżdżała z Warszawy stryjenka wraz z siostrzenicą. Rokrocznie latem wyjeżdżaliśmy na pewien czas do dziadków Berezowskich do Sambora, albo oni zjeżdżali na kilka dni do Łopiennika.

Do Sambora jechało się wiele godzin koleją z przesiadką w Jaworsku. Po drodze mijaliśmy Chyrów, gdzie mieściło się prowadzone przez zakonników gimnazjum i liceum dla zbyt rozbrykanych ziemiańskich synów. Ilekroć w domu coś przeskrobałem, nie byłem przeważnie karany ale straszono mnie wysyłką do Chyrowa.

Na starej fotografii



Oddział mjr. „Zapory”, pluton por. Szczepana Żelaznego „Żaby”

Mjr Hieronim Dekutowski „Zapora” (z lewej) i kpt. Zdzisław Broński „Uskok”



Kazimierz Cieśllicki

Urzędów w walce z władzą rosyjską, zwaną ludową

Patriotyzm urzędowiaków na przestrzeni dziejów

Na podstawie zachowanych źródeł (opisy, wspomnienia uczestników) wiemy, że mieszkańcy Urzędowa byli dobrymi patriotami. Brali czynny udział w walce z wrogiem zawsze, gdy zachodziła potrzeba. Począwszy od wojen napoleońskich (wcześniejszych źródeł brak) poprzez powstania narodowe XIX w., I wojnę światową i II wojnę światową. Mamy dowody na to, że mieszkańcy Urzędowa brali udział w powstaniu listopadowym, powstaniu styczniowym (ok. 55 osób według A. Golińskiego), liczny był ich udział w Legionach, POW [Polskiej Organizacji Wojskowej] i na froncie w walce z bolszewikami.

Podczas ostatniej wojny trudno mówić o licznych udziale urzędowiaków w walce z Niemcami. Do walki przystąpili wtedy masowo.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. postawa polityczna urzędowiaków była jednolita. Każdy cieszył się z wywalczonej niepodległości, pracował jak mógł najlepiej w organizacjach społecznych, pomagając dźwigać kraj po półtorawiecznej niewoli. Środowisko urzędowskie było wyjątkowo klerykalne. W okresie międzywojennym 17 księży wywodziło się z tego miasteczka.

Pod względem politycznym społeczeństwo Urzędowa dzieliło się wtedy na następujące ugrupowania: najliczniejsze było POW i pilsudczycy, dalej – Stronnictwo Narodowe oraz Polskie Stronnictwo Ludowe. Była między nimi walka o wpływy. POW i pilsudczycy byli orientacji proniemieckiej (w pewnym stopniu) pozostałe ugrupowania prowschodnie. Wielkiej jednak walki politycznej nie było, wszystko odbywało się na płaszczyźnie pokojowej współpracy.

Urzędowcy komuniści i ich działalność w okresie międzywojennym

Po I wojnie światowej wyjechało do Warszawy na studia dwóch Gruchalskich z ul. Wodnej: Jan i Aleksander. Obaj przed II wojną światową ukończyli studia. Jeden jako inżynier architekt, drugi był technikiem budowlanym. Mieli w Urzędowie jeszcze dwóch braci: Stefana i Piotra. Obaj Gruchalscy studiujący w Warszawie widocznie zetknęli się z komunistami warszawskimi. Przejęli ich ideologię, przelali ją bratu Piotrowi w Urzędowie, i wspólnie z nim założyli w Urzędowie komórkę Komunistycznej Partii Polski. Do komórki tej należeli lub byli jej sympatykami następujący obywatele:

1. Jan Gruchalski,
2. Aleksander Gruchalski,
3. Piotr Gruchalski,
4. Józef Siekaczyński,

5. Witold Kotowski,
6. Stanisław Rzepecki,
7. Julian Ambrożkiewicz,
8. Roman Stec,
9. Kornel Mazik,
10. Władysław Rosowski z synami,
11. Edward Iwan,
12. Jan Iwan,
13. Chrzanowski – krawiec z Zakościelnego,
14. Chrzanowski – brat krawca,
15. Tokarski z Gór,
16. Pączek z Mikuszewskiego,
17. Buda z Bęczyna,
18. Paszkowski z ul. Wodnej.

Uwaga: lista jest niepełna.

Komórka ta działała w ścisłej konspiracji, gdyż przedstawienie mieszkańców Urzędowa było zdecydowanie antykomunistyczne. Wyżej wymienieni Gruchalscy przywozili z Warszawy broszury propagandowe wychwalające rządy bolszewickie w Rosji, szczuli przeciwko religii i jej przedstawicielom, duchowieństwu. Kiedy byłem małym chłopcem, wpadła mi w ręce taka broszurka. Wielu spraw w niej poruszanych nie rozumiałem, ale pamiętam, że była ona pisana prostym językiem w formie pytań i odpowiedzi. Przeznaczona dla prostych ludzi.

Jak już podałem, orientacja polityczna mieszkańców Urzędowa była wtedy zdecydowanie antykomunistyczna i miejscowi komuniści w tych warunkach niewiele mogli zdziałać. Niemniej jednak członek KPP Julian Ambrożkiewicz z ul. Wodnej (koło cmentarza) dostał wieloletni wyrok za działalność antypaństwową. Przesiedział kilka lat w więzieniu. Pozostali komuniści szczęśliwie dotrwali do 1939 r. Ich przywódcy: Piotr Gruchalski i jego brat Jan Gruchalski otrzymywali dotacje pieniężne z centrali partyjnej na działalność propagandową. I jeden, i drugi wybudowali sobie za te pieniądze duże, murowane domy. Z tym, że dom Piotra Gruchalskiego był szczególnie duży o masywnych piwnicach. Chwalił się jego właściciel, że jak dojdzie do władzy, to w tych piwnicach będzie więził swoich przeciwników politycznych.

W Urzędowie w tym czasie chodziły słuchy, że ten lub ów jest komunistą, ale żaden z nich z tego powodu nie cierpiał.

Pod koniec września 1939 r. na skutek paktu Ribbentrop–Mołotow, gdy Armia Czerwona zajmowała Polskę od wschodu, miejscowi komuniści myśleli, że armia ta dojdzie aż do Wisły. Dlatego Piotr Gruchalski i jeden z urzędowskich Żydów u wlotu rynku od strony wschodniej między Domem Spółdzielczym i apteką wywiesili na całą szerokość ulicy transparent z napisem witającym wojska rosyjskie. Te jednak do Urzędowa nie doszły, zatrzymały się na linii Wilkołaz–Zakrzówek. Do Urzędowa

dotarł wówczas jakimś cudem jeden żołnierz rosyjski na przedmieście Zakościelne, z karabinem na sznurku, w porwanej odzieży. Potem granicę zaborów cofnięto na linię Bugu. Transparent został zrzucony.

Okupacja niemiecka 1939–1944 r. – działalność komunistów na tle ogólnej działalności Ruchu Oporu

Z początkiem okupacji niemieckiej przywódca urzędowskich komunistów Piotr Gruchalski, Julian Ambrożkiewicz i jeden Żyd o nieustalonym nazwisku uciekli do ZSRR. Przebywali podobno w rejonie Łucka, Kowla, Równego. Nie było ich około pół roku. Tam Ambrożkiewicz zmarł, a Gruchalski z nieustalonym Żydem cichaczem wrócili do wsi Ostrów koło Popkowic do siostry swojej żony, nazwiskiem Mazurowej. W podartym ubraniu, zawszony, wygłodzony. Tam wrócił do sił. Dano znać żonie w Urzędowie, która zawiozła mu czystą bieliznę i ubranie. Cichaczem wrócił do Urzędowa i przycichł w swojej działalności.

Tymczasem nastąpiło uderzenie Niemców na ZSRR. Trwał silny terror niemiecki w okupowanym kraju. Niemcy jednakowo terroryzowali ludność polską, bez względu na przynależność polityczną. Potem terror ten jeszcze się nasilił, ale jeśli chodzi o komunistów – tych Niemcy wyjątkowo ostro zwalczali i likwidowali. W Urzędowie w tym czasie (1943 r.) zostali zamordowani następujący komuniści: Witold Kotowski z Bęczyna i krawiec Stanisław Rzepecki z synem Zbigniewem z Zakościelnego zlikwidowani w Zakrzówku. Na ul. Wodnej na moich oczach został zastrzelony przez granatową policję Aleksander Gruchalski.

Niemcy z upływem czasu coraz bardziej słabli, wykrwawiając się na wielu frontach. W kraju terror niemiecki nie zmalał, ale zmalały garnizony wojskowe i żandarmerii rozmieszczone po miastach i miasteczkach. Z Urzędowa zabrano w ogóle garnizon żandarmerii stacjonujący na plebanii. Umęczony naród polski zaczął podnosić głowę. Zaczęły mnożyć się akcje sabotażu i dywersji skierowane przeciwko Niemcom, coraz śmielsze były akcje zbrojne dokonywane przez partyzantów kierowanych przez różne ugrupowania polityczne. Powstawały oddziały partyzancie coraz bardziej nękające wroga.

W najbliższej okolicy Urzędowa były też i komunistyczne ugrupowania partyzanckie, było ich jednak bardzo mało i działały w ograniczonym zakresie.

Wpadła mi w ręce nader ciekawa książeczka pod tytułem *Z dziejów KPP, GL i AL w pow. kraśnickim 1942–1944 r.* Autor – Zbigniew Jerzy Hirszyński. W książeczce tej autor opisuje ciekawe historie. Przede wszystkim wielką ilość akcji zbrojnych wykonanych przeciwko Niemcom, które to akcje wykonywali akowcy – autor przypisuje je Gwardii Ludowej lub Armii Ludowej. Dalej – na 33 stronie ze zdumieniem dowiaduję się, że w Urzędowie w dniu 1.02.1944 r. było równo 100 gwardzistów! A ja z całą odpowiedzialnością twierdzę, że było ich 7 osób i mieli jeden karabin. A w ogóle okoliczne miejscowości były „usiane” AL i GL i to o okrągłych cyfrach: 100 osób, 130, 50 itd. Jeden Trzydnik jest podany, że tam było w AL

236 osób. W to mogę uwierzyć, jako że ta wieś razem z Rzeczycą była w okolicy nazywana „Moskwą”. Tam była główna siedziba okolicznych komunistów. Wszystko inne to bujda. Tak się fałszuje historię, żeby sobie uzurpować prawo do dyktatorskich rządów.

Do jednego z oddziałów komunistycznych, którym dowodził Korczyński, należał Jan Gruchalski. Za sprzeniewierzenie pieniędzy należących do organizacji został w 1943 r. zastrzelony przez swoich towarzyszy we wsi Grabówka.

Odnosnie do liczebności komunistycznej partyzantki dopiero po wojnie namnożyło się Armii i Gwardii Ludowych uzurpujących sobie wiele akcji, które wykonała Armia Krajowa.

Z działalności komunistów urzędowskich podczas okupacji można by jeszcze wymienić działalność „propagandową”. Na przełomie 1942/1943 r. jeden z nich, nazwiskiem Pączek z przedmieścia Mikuszewskiego na płocie w Rynku, róg ul. Opolskiej, oraz na stodole na przedm. Mikuszewskim wymalował hasło: PPR...! Na stodole tej napis istnieje do dziś.

Piotr Gruchalski przez cały okres okupacji niemieckiej ukrywał się w Urzędowie. Niemcy wielokrotnie poszukiwali go, jednak urzędowiacy tak skutecznie go chronili, tak mu pomagali, że do momentu wyzwolenia był cały i zdrowy. Potem odpłacił się za to krwawo.

Terror władzy „ludowej”

Armia Czerwona weszła do Urzędowa w dniu 28 lipca 1944 r. Jej oddziały minęły Urzędów i przez Dzierzkowice, Książomierz doszły do Annopola, do mostu na Wiśle, później zlikwidowanego przez Niemców. Urzędowskie oddziały Armii Krajowej wyszły z rejonu lasów Dzierzkowskich na drogę, na spotkanie z Armią Czerwoną. Tu po spontanicznym przywitaniu się czerwonoarmiści szli dalej w kierunku Wisły, zaś partyzanci pomaszerowali w kierunku Urzędowa serdecznie witani przez mieszkańców ul. Wodnej.

Na rynku w Urzędowie wśród tłumu mieszkańców partyzanci w dwuszeru oczekiwali decyzji co do swoich dalszych losów. W tym czasie ocalałe z niemieckiego pogromu niedobitki urzędowskich komunistów w osobach Piotra Gruchalskiego, jego syna Janusza, Pączka, jego syna Edwarda, Józefa Siekaczynskiego i innych – wynotowali sobie nazwiska partyzantów.

Do stojących w dwuszeru na rynku partyzantów przyszedł rozkaz wymarszu na ul. Wodną na posesję ob. Paszkowskiego. Tu zdajemy broń, otrzymujemy rozkaz demobilizacji.

Wkrótce po tym do Urzędowa przyszedł komunistyczny oddział partyzancki składający się z byłych fernali majątku Świeciechów nad Wisłą k. Annopola. Dowódcą ich był były karbowy nazwiskiem Tomala. Zajęli oni posterunek po granatowej policji i rozpoczęli służbę. Widziałem jak stali w dwuszeru przed budynkiem posterunku w porwanej odzieży, boso. Później do milicji dołączył też jeden z mieszkańców Urzędowa Władysław Rosowski.

Powoli stabilizowała się nowa władza. Dawni partyzanci rozeszli się do domów, przycichli. W Kraśniku

zaczął działać Urząd Bezpieczeństwa. Działał jakże krwawo. Pierwszymi ich ofiarami w Urzędowie byli: Hipolit Cieszkowski, dowódca miejscowego AK i Józef Mazurkiewicz również akowiec. Aresztowani zostali we wrześniu 1944 r. i wywiezieni do obozu jeńców wojennych w riaszańskiej obłasti w ZSRR. Hipolit Cieszkowski w 1945 r. został zamęczony w obozie. Józef Mazurkiewicz po dwu latach pobytu w obozie wrócił do Urzędowa i w krótkim czasie również zmarł.

Ale to był dopiero wstęp do szeroko zakrojonej akcji. 6 października 1944 r. NKWD razem z oddziałem partyzantki komunistycznej „Cienia” – Kowalskiego i zgryzą milicji w nocy otoczyli Urzędów kordonem nie do przedarcia. O pierwszym brzasku zaczęło się aresztowanie mieszkańców Urzędowa według sporządzonych wcześniej przez komunistów list z nazwiskami. Listę tę sporządził krawiec Chrzanowski z przedm. Zakościelnego i przekazał NKWD. Zaskoczenie było całkowite. Spowodowało ono, że Rosjanie aresztowali wówczas ok. 600 osób. Wielu z aresztowanych legitymowało się podrobionymi, fałszywymi kenkartami ze zmienionym nazwiskiem z czasów niedawnej okupacji niemieckiej. Tu czuwał Piotr Gruchalski. Stojąc przy boku enkawudzisty, ujawniał prawdziwe nazwisko aresztowanego, powodując jego zatrzymanie. Do wieczora ci ludzie byli chwytni i doprowadzani do aresztu gminnego. Gdy wszystkie cele były już pełne ludzi, kazano nam wychodzić na podwórze Gminy. Tu uformowano z nas długą kolumnę, którą otoczono silnym konwojem złożonym z żołnierzy pieszych, z psami, na koniach itp. i popędzili nas szosą w kierunku Kraśnika. Gdy nas pędzono przez rynek – słychać było tylko jeden wielki płacz kobiet. Ocaleli mężczyźni przebywali w ukryciu.

W wiosce Budzyń po lewej stronie szosy stała duża pusta chata. Tu nas rozmieszczono na okres ok. 2 tygodni. Przez ten czas w dzień i w nocy odbywało się przesłuchiwanie i bicie zatrzymanych. Część osób z Budzyna puszczono do domu. Ogromną większość popędzono znów pod silnym konwojem do więzienia w Kraśniku. Tu więźniowie byli nadal przesłuchiвани i bici w pomieszczeniach obecnego przedszkola. Przesłuchiwania te odbywały się już z udziałem oficerów UB (Urzędu Bezpieczeństwa) również z biciem i maltretowaniem więźniów. Szczególnie odznaczył się przy tym Gądor z sąsiedniej wsi Moniaki. Jedzenie w więzieniu było bardzo złe i rodziny dożywiały swoich.

Więzienie w Kraśniku – to były 2 duże sutereny posiadające małe okienka. Przepelnione były więźniami. Najwięcej było urzędowiaków, ale byli też członkowie oddziałów partyzanckich z dalszych okolic, całe oddziały. Spaliśmy na betonie na mierzwie ze starej słomy, która ruszała się od insektów. Po miesięcznym pobycie w więzieniu nastąpiła selekcja. 18 osób wywieziono samochodem do Lublina, do niewielkiego ponemieckiego obozu blisko stacji kolejowej Lublin. Tam po zebraniu wielkiej ilości aresztowanych popędzono nas do wagonów węglarek i wywieziono w katorżniczych warunkach do Rosji do obozu jeńców wojennych. Tu przebywaliśmy z tysiącami innych partyzantów polskich, powstańców warszawskich w obozie głównym i jego filiach. Obóz główny mieścił się

w mieście Borowicze nad rzeką Mstą, ok. 200 km na wschód od Leningradu. Nosił on nazwę Łagier nr 270 i dzielił się na podobozы: Jegolsk, Ujście, Kabanka, Szepietówka, Obóz Leśny i inne. Tu więźniowie przemienieni w jeńców wojennych ubrani w mundury z całej Europy (najwięcej niemieckich) z łatą WP (wajennoplenny – jeńiec wojenny) pracowali w kopalniach węgla, przy budowie dróg i linii kolejowych, w cegielni, przy wyciąganiu pni drzew z rzeki Msty (lesospław) w pobliżu miasta Borowicze. W katorżniczych warunkach, w straszliwym głodzie, na mrozie dochodzącym do minus 50 stopni. Bici przez ludność cywilną, rozstrzeliwani przez konwojentów NKWD. Z urzędowiaków na 18 zesłańców 1 osoba zmarła w obozie, 5 osób zmarło po powrocie na gruźlicę. Kilku innych ciężko chorowało przez resztę życia.

Z najbliższej okolicy wywieziono wtedy do obozu 5 osób ze wsi Leszczyna. Z nich 1 zmarł w obozie, drugi po powrocie do domu na gruźlicę. Ze wsi Wierzbica był w obozie 1 człowiek, ze wsi Wandalin również jeden.

Z pozostałych więźniów z kraśnickiego więzienia część wywieziono na Zamek w Lublinie, gdzie przebywali od kilku miesięcy do 1,5 roku. Część przetrzymywano w więzieniu w Kraśniku, stopniowo zwalnając do domu. Ze wszystkich aresztowanych w dniu 6.10.1944 r. najbardziej ucierpieli ci, których wywieziono do Rosji.

Tymczasem w Urzędowie terror szalał dalej, aresztowania trwały. Oczywiście już się Rosjanom nie udawało aresztować tyle ludzi, co pierwszym razem w dniu 6.10.1944 r. Dawni partyzanci mieli się na baczności, ukrywali się. Wytworzyła się w miasteczku taka sytuacja, jak w czasie okupacji niemieckiej. Wtedy na okrzyk: „Gestapo!” kto żyw uciekał, krył się w mysia dziurę. Teraz gdy weszli Rosjanie, a front stał 30 km od Urzędowa, na Wiśle – sytuacja była podobna. Gdy tylko od strony Kraśnika rozległ się warkot samochodów – kto żyw uciekał, krył się gdzie mógł. Powtarzało się to co kilka dni, a trwało 3 do 4 lat po zakończeniu wojny. Pamiętam, już po powrocie z niewoli, gdy trochę odżyłem, poszedłem do Domu Ludowego, gdzie kino objazdowe wyświetlało jakiś film. Podczas projekcji filmu NKWD otoczyło Dom Ludowy i legitymowało wszystkich mężczyzn. Na mój tymczasowy dowód tożsamości stwierdzający, że przybyłem z ZSRR pokręcili głowami i wypuścili mnie.

Z miejscowych obywateli Urzędowa do Milicji Obywatelskiej należał, jak już pisałem, Władysław Rosowski, przedwojenny kłusownik, dołączył też syn Piotra Gruchalskiego – Janusz.

W dniu 6.12.1944 r. zostało aresztowanych i wywiezionych do niewoli w ZSRR jeszcze dwóch mieszkańców Urzędowa, partyzantów AK. Byli to: Karol Dzikowski i Józef Pomorski. Ich wywieziono do obozu permskiego i swierdłowskiego.

Mój kuzyn Tadeusz Cieśllicki z ul. Wodnej zapytał raz Piotra Gruchalskiego: „Gdzie są nasze chłopaki?”. Ja byłem wywieziony razem ze swym bratem, również członkiem AK. Gruchalski na to: „Cicho bądź, bo i ty tam pojedziesz”.

Za zbrodnie popełnione na mieszkańcach Urzędowa Piotr Gruchalski pierwszy poniósł zasłużoną karę. Zimą 1944/1945 jego syn Janusz Gruchalski, członek milicji,

wracał wieczorem do domu z posterunku w rynku. Na ulicy Wodnej został pochwycony przez nieznanych ludzi, uprowadzony i zlikwidowany. Odtąd jego ojciec Piotr Gruchalski już w domu nie nocował. Odpowiednio uzbrojony spał na posterunku Milicji Obywatelskiej. Jako burmistrz Urzędowa miał różne sprawy służbowe do załatwienia w okolicznych miejscowościach. Był przezorny. Jadąc wynajętą podwodą przez las zawsze wynajętego chłopca sadzał na siedzeniu głównym, tylnym. A sam zajmował miejsce woźnicy. Jechał raz wynajętą podwodą do wsi Dzierzkowice. Przed lasem kazał chłopu przesiąść się na siedzenie tylne, a sam usiadł w miejsce stangreta. Z lasu ktoś z byłych partyzantów puścił serię z pistoletu maszynowego, zabijając spokojnego, niewinnego mieszkańca Urzędowa Józefa Żyszkiewicza. A Gruchalski ocalał. Ale do czasu.

Tymczasem front znad Wisły przesunął się dalej na zachód, Niemcy kapitulowały a w Urzędowie terror nowej władzy szalał dalej. Trwały aresztowania, więzienia były zapelnione.

Żona mojego brata dowiedziała się, że rzekomo siedziemy z bratem we Wronkach, w tym słynnym więzieniu w Poznańskim. Pojechała tam. Okazało się, że nas tam nie ma a od miejscowej ludności usłyszała wiele nieprzyjemności. Nie chcieli jej nocować, myśląc, że to żona folksdojca.

Miejscowi komuniści nie czuli się w Urzędowie bezpieczni i wszyscy, którzy mieli coś na sumieniu z Urzędowa wyemigrowali na zachód, na ziemie odzyskane w obawie przed zemstą. Piotr Gruchalski nie nocował w domu, lecz na posterunku MO, a rano szedł do domu na ul. Wodną i dosypiał jeszcze pod pierzyną. Pewnego razu jego żona rano poszła doić krowy, a Gruchalski położył się do łóżka i zasnął. Przyszli nieznani ludzie i jego żonę zamknęli w chlewie, a Gruchalskiego podczas snu zabili. Ranili też jego córkę, która spała koło ojca.

Znane były w owym czasie następujące piosenki. Na nutę: *Maszerują strzelcy, maszerują...*:

„Maszerują cicho, niby cienie,
poprzez góry, lasy i pola
Niejednemu wyrwie się westchnienie,
ale taka już jest ich dola
Pomylił się Stalin, pomylił się kat
a za nim ta jego chołota
Za Katyń, za Sybir, kajdany, za krew
zapłaci „Zapory” piechota.
Teraz za drugiego okupanta
jeszcze jedna nam wyszła krew
Po zdradziecku sięga nam do gardła,
na tajgi Sybiru chciał nas wieść.
Pomylił się Stalin...”

A oto druga piosenka z tego okresu, śpiewana na nutę *Roty*:

„Od Bugu Polska wam się śni
aż do tatrzańskich turni
A przed Stalinem czoło gnie
potężny hufiec durni.
Twierdzą nam będzie każdy próg
Tak nam dopomóż Bóg,
tak nam dopomóż Bóg”.

To są fragmenty piosenek. W rzeczywistości były one znacznie dłuższe.

Były jeszcze potem walki na przedm. Bęczyn między partyzantami a milicją. Padali zabici i ranni po obu stronach. Pamiątką tych wydarzeń jest „pamiątkowa” płyta na budynku Urzędu Gminy i nagrobki młodych ludzi na cmentarzu, padłych od kul milicji. Mnie wówczas w kraju nie było. Słyszałem tylko o tym po powrocie od postronnych osób. Nie chcąc czytelnika wprowadzić w błąd, nie będę tego opisywał. Niech to uczynią naoczni świadkowie. Jeszcze żyją. Ja mieszkając przeszło 30 lat poza Urzędowem, złożony ciężką chorobą (efekt dwuletniego pobytu w niewoli w ZSRR) przykuty do łóżka i sztucznej nerki, nie mogę pojechać do Urzędowa i zebrać odpowiednich materiałów. Niech to uczynią inni. Zeznania i oświadczenia o prześladowaniu mogą przedstawić następujący mieszkańcy Urzędowa: Edward Pochroń i Zygmunt Chudzik oraz obecny mieszkaniec Lublina Zbigniew Nestorowicz.

W roku 1946 po powrocie z niewoli, pamiętam, jeszcze urządzano łapanki, jeszcze mnie wielokrotnie legitymowano. Ale miałem dokument stwierdzający, że przyjechałem z ZSRR i dano mi spokój. Potem wyjechałem na Dolny Śląsk i wszelkie niepokoje się skończyły.

A w Urzędowie ostatni młody człowiek wyszedł z więzienia po 10 latach od zakończenia wojny.

Ostatnim akcentem niniejszej pracy niech będzie autentyczna notatka z gazety milicyjnej „W Służbie Narodu” z dn. 4.08.1948 r. będąca w posiadaniu niżej podpisanego. Był to ostatni odruch oporu mieszkańców Urzędowa przeciwko nowej władzy zwanej „ludową”. Cytuję ją dosłownie:

„Dnia 9.07.1948 r. Komendant Posterunku M.O. Urzędów, pow. Kraśnik, [...] zakwaterowała się banda w sile 5 ludzi, uzbrojona w broń maszynową i ręczną. Kapral Siembida zawiadomił natychmiast grupę KBW, a sam z milicjantami – szer. Smyłem Bronisławem, Piziołem Tadeuszem i Kurzyną Mieczysławem udał się na miejsce pobytu bandy. Na widok wchodzących milicjantów, bandyci otworzyli ogień. W czasie wymiany strzałów ranny został szer. Smył Bronisław, jednak ostrzeliwał się w dalszym ciągu. Walka trwała półtorej godziny, w wyniku jej 5 bandytów zostało zabitych. W walce zdobyto 5 pistoletów, 3 RKM, granaty i amunicję. W związku z wskazanym bohaterstwem, odwagą i poświęceniem w walce z wrogami Polski Demokratycznej udzielam pochwały i nagrody: kpr. Siembidzie, szer. Smyłowi i Kurzynie. Jednocześnie polecam wymienionych funkcjonariuszy M.O. przedstawić do odznaczeń bojowych. (Rozkaz Specjalny Kom. Gł. M.O. z dnia 30.07.1948 r.).”

Stanisław Gajewski ps. „Staś”

Moje wspomnienia z lat 1943 do 1952

We wczesnych miesiącach roku 1943 zauważyłem, że do naszego domu przychodzą coraz to inni mężczyźni – obcy. Ojciec mój Jan Gajewski opowiadał nam, synom, a było nas trzech, że w roku 1916 wstąpił do Wojska Polskiego Marszałka Józefa Piłsudskiego jako 17-letni ochotnik. W tym czasie, tj. w 1943 r., miałem zaledwie 13 lat i również marzyłem o wojsku, o walce o wolną ojczyznę.

Ci obcy mężczyźni w naszym domu stawali się moimi znajomymi i przyjaciółmi. Chętnie spełniałem ich polecenia. W naszym domu pojawiła się broń: karabin maszynowy RKM, różnego rodzaju granaty. Marzyłem o własnej broni.

My młodzi chłopcy w naszej okolicy zorganizowaliśmy młode wojsko polskie. Wystrugaliśmy rewolwery z drewna – na razie z wyobraźni, ale miałem możliwość widzieć prawdziwy rewolwer, więc wystrugałem z drewna identycznie taki sam nagan, jaki widziałem u mojego starszego brata Tadka.

W maju 1943 r. na rynku w Urzędowie Niemcy ustawili kilkadziesiąt różnych pojazdów – samochody większe i mniejsze, przyczepy, motocykle – pilnowane przez wartowników. Byłem wówczas uczniem szkoły powszechnej (podstawowej) i podczas przerwy zauważyłem żołnierza niemieckiego siedzącego w przyczepie, który uzbrajał granaty zakładając im zapalniki. Po przerwie, na lekcji umówiłem kolegów, ażeby spróbować ukraść kilka granatów. Na środku rynku była pompa wodna, z której korzystali mieszkańcy. My chłopcy figlowaliśmy przy tej pompie oblewając się wodą, aby nie ujawnić wartownikom niemieckim naszych zamiarów.

Przyczepa z granatami była obudowana pałatką, więc bez trudu wszedłem pierwszy na przyczepę i wziąłem ze skrzyni kilka granatów. Na umówione hasło wyszedłem z przyczepy bez przeszkód z łupem, a do przyczepy wtargnął drugi „złodziej”. Ja pobiegłem na łąki za rynek, granaty oddałem koledze, a sam wróciłem po następne. Dzień majowy 1943 r. stał się szczęśliwy, bo z przyczepy tej wynieśliśmy około 50 sztuk granatów. Całą zdobycz zanieśliśmy do mojego domu, w którym kwaterowało dowództwo partyzanckie – Kedyw Armii Krajowej w Urzędowie. Dowódcą ww. organizacji AK był wachmistrz Mieczysław Cieszkowski ps. „Grzechotnik”. Działalność nasza uzyskiwała pochwałę i zachętę do dalszego działania. W następne dni plądrowaliśmy pojazdy niemieckie, zdobywając około 200 sztuk amunicji różnego rodzaju, potrzebnej partyzantom.

Z kwatery żołnierzy niemieckich, przebywających w domu państwa Pytlakowskich przy ul. Wodnej w Urzędowie, wykradłem pas rzemienny z kaburą do pistoletu, licząc, że w kaburze jest broń. Broni w kaburze nie było. Pas skradziony Niemcom podarowałem partyzantowi Tadeuszowi Malinowskiemu ps. „Jacek”, który w czerwcu 1944 r. zginął w ciężkiej walce z Niemcami w Kluczkowicach wraz z dowódcą „Grzechotnikiem”.

W grupie młodych chłopców okradających Niemców byli: Stanisław Romańczuk, Robert Witek, Zygmunt Gozdalski, Zygmunt Kalisz, Eugeniusz Ratajczak – wygnaniec z Poznańskiego i ja, Stanisław Gajewski.

Oprócz kradzieży niszczyliśmy pojazdy niemieckie, obcinając, psując przewody hydrauliczne, elektryczne, paliwowe i co się tylko dało uszkodzić.

Ponieważ oddział partyzancki Kedyw AK Urzędów miał kwaterę w moim rodzinnym domu, to ja byłem tam potrzebny o każdej godzinie, więc mimo młodego wieku dowódca „Grzechotnik” przyjął ode mnie przysięgę w dniu 12 października 1943 r. w obecności moich rodziców i dwóch starszych braci, którzy byli żołnierzami tej organizacji.

Nasz oddział Kedyw „Grzechotnika” AK z Urzędowa brał udział w wielu akcjach bojowych z Niemcami. Wracając z ciężkich walk, przekazywali różne wiadomości i relacje oraz widoczne ślady walki.

Mój średni brat Tadek ps. „Nagan”, obsługujący karabin maszynowy, wrócił z ciężkiej walki z Niemcami z podziurawioną kulami odzieżą, a nawet bielizną. Postrzeloną miał także furażerkę na głowie.

W ostatnich dniach czerwca 1944 r. wrócił również z ciężkiej walki z Niemcami najstarszy brat Gabriel ps. „Oset”, ciężko poraniony; miał przestrzelony obojczyk, prawe ramię i bok.

Przyszła noc z 21 na 22 lipca 1944 r. – Oddziały wojsk niemieckich cofały się, a następowały wojska ZSRR. Oddziały partyzanckie Armii Krajowej z bliskich okolic skoncentrowały się w lesie Wolski Bór za Bęczynem. My, ojciec i nas trzech braci, byliśmy razem z oddziałem „Grzechotnika” Kedyw pod dowództwem Konstantego Wójcika ps. „Chińczyk”, gdyż „Grzechotnik” już nie żył.

Rano dnia 22 lipca 1944 r. poszliśmy na spotkanie z wojskiem wyzwolenym sowieckim.

Tego dnia, po rozmowie dowództwa Armii Krajowej z dowódcami sowieckimi poszliśmy niby każdy do swego domu, bo byliśmy bardzo niezadowoleni z żądań



Stanisław Gajewski

Sowieców. Sowieci zażądali, aby oddziały Armii Krajowej poszły razem z wojskiem sowieckim na front pod ich dowództwem.

Po kilku dniach sowiecka żandarmeria – NKWD – rozpoczęła aresztowanie żołnierzy AK. Zaczęliśmy się ukrywać. W sierpniu 1944 r. został ciężko ranny nasz ojciec podczas zdobywania karabinu przeciwpancernego „PPanc” od żołnierzy sowieckich. Ciężko rannego mojego ojca – Jana Gajewskiego trzeba było leczyć w szpitalu. Szpitale województwa lubelskiego były bardzo strzeżone przez Urząd Bezpieczeństwa, stąd też leczenie żołnierza Armii Krajowej było niemożliwe. Dyrektorem szpitala krakowskiego był urzędowiak – doktor Aleksander Surdacki. Partyzanci AK skontaktowali się z panem doktorem Surdackim i w niewiadomy mi sposób przewieźli mojego rannego ojca do szpitala w Krakowie. W krakowskim szpitalu leżał wiele miesięcy. Po powrocie został ulokowany na kwaterze partyzanckiej w Urzędowie – przedmieście Mikuszewskie u Leonarda Wyróstka. Opiekunką rannego była córka Leonarda, Zofia Wyróstek ps. „Mała” pod nadzorem partyzanta Józefa Ściegiennego.

Dnia 3 września 1944 r. kwaterowaliśmy kilkunastu żołnierzy Armii Krajowej w stodole należącej do Jana Surdackiego ps. „Pręt”, która stała w lesie. Rano około godz. 8.30 przybiegł zdyszany rolnik Stefan Wyróstek ze skargą, że milicja z posterunku MO z Urzędowa zabiera mu konia, którego dostał od AK Kedyw „Grzechotnika” zdobytego od Niemców w zamian za konia własnego, którym jechali partyzanci. Furmankę z partyzantami AK zaatakował oddział AL „Cienia” i zabrał furmankę z końmi bezpowrotnie.

W związku ze skargą S. Wyróstka pobiegliśmy na ugodowe pertraktacje z milicją. Pierwszy biegł mój brat Tadek ps. „Nagan”. Dobiegamy do budynków Wyróstka i widzimy milicjantów. „Nagan” krzyknął trzykrotnie: „Milicja nie strzelać, chcemy rozmawiać”. Pada podwójny strzał. „Nagan” pada ugodzony kulą w głowę. Powstała strzelanina. Padło trzech milicjantów. Nasz kolega Kwiryn Surdacki ps. „Dzik – Felek” – krzyczy: „Koledzy! Uwaga, jeden milicjant uciekł do stodoły!”. Najstarszy mój brat „Oset” woła: „Milicjant wychodzi ze stodoły, bo podpalamy stodołę”. Milicjant – Henryk Zając ze wsi Moniaki wychodzi ze stodoły z przewieszonym przez plecy automatem Sten i rękami do góry z prośbą, aby go nie zabijać, to powie kto strzelał do „Nagana”. Rozbrojony milicjant H. Zając zaprowadził nas do brogu siana, na którym w sianie był ukryty następny milicjant Czesław Zdyb, komendant grupy milicyjnej. Zając natarczywie oskarżał Zdybą, że to Zdyb strzelał do „Nagana”. Zdyb temu zaprzeczał. Sprzeczkę przerwał Robert Surdacki ps. „Jurek” i zadaje pytanie Zdybowi: „A w Owczarni nie strzelałeś do nas?”. Na to pytanie odpowiada Zdyb: „Strzelałem, ale z rozkazu »Cienia«”. A „Jurek”: „Jeżeli strzelałeś do braci Polaków, to już więcej nie będziesz strzelał”. Padły strzały. Zdyb padł martwy. Zając ponieważ wydał zabójcę naszego żołnierza „Nagana” został zwolniony. Żywy i zdrowy poszedł do wsi Moniaki. Do ciężko rannego „Nagana” natychmiast przyprowadzono do lasu partyzanckiego lekarza – doktora Józefa Ściegiennego. Doktor zbadał ranę „Nagana” i wyciągnął z niej

kulę pochodzącą z broni Zająca. Milicjant Henryk Zając samowolnie rozpoczął strzelaninę, raniąc ciężko żołnierza Armii Krajowej „Nagana”, wydał na śmierć ukrytego komendanta MO Czesława Zdybą i spowodował śmierć czterech kolegów milicjantów, a sam poszedł żywy i zdrowy. „Nagan” zmarł po trzech dniach. Polski milicjant, stróż porządku i ładu, taką okazał koleżeńskość i solidarność wobec kolegów w niebezpiecznej sytuacji. Uciekł w nieznane strony i być może żyje do dnia dzisiejszego.

Mijały dni i miesiące wielkich prześladowań. Okupant sowiecko-polski ścigał, aresztował, więził w lochach i wywoził na Sybir prawdziwych synów ojczyzny. Przy pomocy urzędowiaka Piotra Gruchalskiego – przewodniczącego Gminnej Rady w Urzędowie, NKWD aresztowało dowódcę rejonu I Urzędów AK por. Hipolita Cieszkowskiego ps. „Odyniec” i dwudziestu jego żołnierzy – urzędowiaków, a następnie wywieźli ich na Sybir. W okrutnych warunkach: mrozie, głodzie, robactwie zmarli i nie powrócili por. Hipolit Cieszkowski i Longin Cieśliski. Pozostali wrócili, ale z wycieńczenia i przemarznięcia umierają w polskich szpitalach. Na wiadomość, że w obozach syberyjskich dręczeni mrozem, głodem i lawiną robactwa umierali prawdziwi Polacy, opluwani przez zdraździeckich przyjaciół – żołnierze Armii Krajowej zmuszeni byli tworzyć nowe oddziały partyzanckie, aby nie pozwalać okupantowi sowiecko-polskiemu panoszyć się i zabijać. Powstały oddziały i placówki.

W maju 1945 r. na rynek urzędowski wjechały cztery samochody pełne wojska polskiego. Było to wojsko Armii Krajowej pod dowództwem majora „Zapory”. W tym momencie była przerwa między lekcjami w Szkole Podstawowej w Urzędowie. Ja natychmiast poznałem żołnierzy „Zapory” i podbiegłem do pierwszego samochodu, przy którym stał dowódca „Zapora”. Przyjacielskim uściskiem przywitaliśmy się. Przed dowódcą stanął wyprężony żołnierz Jerzy Pawełczak ps. „Jur”, prosząc o zezwolenie rozbrojenia posterunku urzędowskiego Milicji Obywatelskiej. „Zapora” zgodził się, mówiąc: „Rozbrojcie lecz nie zabijajcie” – powtórzył trzykrotnie. Słowa dowódcy jeszcze dziś słyszę – „nie zabijajcie!”. Po kilkunastu minutach „Jur” przyprowadził trzech milicjantów, bez mundurów, w koszulach.

„Zapora” dał rozkaz – zabrać ich do samochodu i wszyscy żołnierze AK wsiedli do samochodów. Mnie dowódca „Zapora” zaprosił do szoferki, usiadł przy mnie i ruszyliśmy w stronę Bęczyna. Odjechaliliśmy od rynku urzędowskiego 1 kilometr. Dowódca zatrzymał kolumnę i milicjantom rozkazał zejść z samochodu. Milicjanci prosili, aby ich nie zabijano. „Zapora” przyjął od nich przyrzeczenie, że już nigdy nie wrócą do milicji i puścił ich wolno. Milicjanci odchodzili powoli, widocznie nie wierzyli wojsku „Zapory”. Kolumna samochodowa z wojskiem ruszyła w drogę i zatrzymała się w lesie Wolski Bór za Bęczynem. Żołnierze rozlokowali się, umyli się w niedalekiej rzece, pożywili się, pośpiewali a wieczorem udali się pod krzyż stojący do dziś przy kwaterze „Zapory” – domu Sylwestra Góldosia w Bęczynie pod lasem, na modlitwę, tak zwaną „majówkę”. Pieśni ku czci Matki Boskiej echo niesło daleko i wyraźnie. My młodzi chłopcy zazdrościliśmy żołnierzom, bo każdy z nich miał broń ma-

szynową. Zauważyliśmy tylko, że Bolesław Wyrostek ps. „Jar”, brat mojej matki, miał karabin ręczny, chociaż był doświadczonym żołnierzem i partyzantem od wielu lat.

Po drugiej majówce oddział Armii Krajowej „Zapory” odjechał w głąb lasu, w nieznanym mi kierunku. W krótkim czasie, może po dwóch dniach my mieszkańcy Urzędowa usłyszeliśmy łoskot karabinów maszynowych, wybuchy bomb – prawdziwa wojna. To wojsko sowieckie z oddziałami polskimi UB napadły na oddział „Zapory” w Ratoszynie.

Dnia 12 lipca 1945 r. „Zapora” z plutonem swoich żołnierzy zakwaterował w gajówce Wolski Bór za Bęczynem. Agentka UB powiadomiła swoje władze i wczesnym rankiem około godz. 6, duży oddział UB zaatakował zaporczyków. Mój brat „Oset” był z „Zaporą”. Ja z naszą mamą nocowaliśmy tej nocy z 11 na 12 lipca w naszym zdemolowanym domu. Wczesnym rankiem 12 lipca 1945 r. usłyszałem gwałtowne strzały i krzyki: „Stój, poddaj się”. Ja zdążyłem jeszcze wyskoczyć z mieszkania w koszulce i majtkach, uciekłem do sąsiadów.

Mamę dopadli UB-owcy z kapitanem Pokrzywą na czele. Bezbronną kobiecinę bili bezlitośnie, krwawiąc jej całe ciało. Wycofujący się pluton „Zapory” stracił następujących żołnierzy: „Śruba” – nazwisko nieznane – zabity, Tadeusz Majkowski, „Dornier” – ciężko ranny w brzuch, Mieczysław Raczkowski ps. „Wilczek” – ciężko ranny w brzuch. Złapani żywi: adiutant „Zapory” Zbigniew Sochacki „Zbyszek”, Jerzy Sroka ps. „Terry” i Marian Kłoczek ps. „Zorż”. Złapanych żywych zaporczyków pokładali UB-owcy na wielkich kamieniach głazowych, leżących przy drodze, łamali żerdziowy płot i tymi drągami bili bezbronnych jeńców. Widok ten był okrutny, po prostu nie do uwierzenia, że Polak Polaka mógł tak torturować. W tej strzelaninie „Zapora” został ranny w nogę i nie mógł uciekać. Podbiegł do niego potężnego ciała „Miś”, chwycił rannego dowódcę na barki i obstrzeliwując się, uciekł z dowódcą. Po obławie, UB-owcy spędzili ludzi na obszerny plac przy drodze i kapitan Pokrzywa wszedł na skrzynię samochodu i donośnym głosem, ubliżając publiczności krzychał: „Otumaniony narode Bęczyna!...”

Jękiem rannych i storturowanych żołnierzy „Zapory” oraz szlochem zebranych widzów, przemowa Pokrzywy została zagłuszona.

Po skończonym wiecu UB-owcy rozpendzili ludność, wrzucili do samochodu rannych i pobitych, wpełnęli aresztowanych, a wśród aresztowanych moją pokrwawioną mamę i odjechali.

Ludność Bęczyna myślała, że odjechali wszyscy, nie wiedzieli, że bardzo wielu UB-owców ukryło się w budynkach czekając na nową przygodę.

Ja zebrałem rówieśników i poszliśmy – kilkunastu chłopców – szlakiem wycofujących się zaporczyków, szukając rannych lub zabitych. Natrafiliśmy na raportówkę, pewnie „Zapory” z mapami i innymi dokumentami dość tajnymi. Torbę z dokumentami ukryliśmy, aby nie wpadła w ręce UB. Koledzy w drogę powrotną udali się lasem, ja z Józkiem Wyrostkiem wracaliśmy nieco oddaloną trasą wycofujących się zaporczyków. Kiedy znaleźliśmy się na odkrytym polu, niedaleko zabudowań padły do nas strzały z trzech karabinów maszynowych i krzyki:

„Ręce do góry! Poddaj się!”. Ucieczka była niemożliwa. Podnieśliśmy ręce do góry i poszliśmy w stronę intruzów. W przesłuchaniach pierwszym czynem UB-owców było bicie, następnie pytania. Nie uznawali odpowiedzi: „Nie wiem – nie znam”. Bili i przymuszali do odpowiedzi: „Znam, wiem”.

Zaprowadzili nas na podwórze żołnierza AK Konstantego Brożka ps. „Głaz”. W zabudowaniach „Głaza” przeprowadzali szczegółową rewizję. Podnieśli radosny krzyk, że jest granat. Wśród żołnierzy UB powstało zamieszanie. My z Józkiem W., korzystając z nieuwagi strażników, rzuciliśmy się do ucieczki długim podwórzem, w kierunku głównej drogi. Nadsluchiwalismy krzyków „Stój” i strzałów, lecz dał Bóg, że tego nie było. Dobiegamy do końca podwórza, a zza rogu płotu wyskakuje żołnierz z karabinem, celem zatrzymania nas. Ja poznałem, że to syn Żyda Sulima, który przed wojną i za okupacji niemieckiej mieszkał po sąsiedzku w Bęczynie. Krzyknąłem: „Dawid! Co robisz?”.



S. Gajewski przy pomniku poległych żołnierzy „Zapory”

Żydowi opadły ręce z karabinem, a my z Józkiem jak szczury koło niego – czmych i już nas nie widać. Wpadliśmy na strych do Sylwestra Wyrostka i dziurą w dachu, niby okienkiem obserwowaliśmy ruchy żołnierzy UB. Z naszego powodu było małe zamieszanie, ale nas już nie było widać, chociaż żołnierze długo jeszcze gonili i rozglądali się.

Po upływie kilkunastu minut zauważyłem jak moja ciocia Maria Witek ciągnie szkapinę, uciekając z nią, bo UB-owcy likwidują jej gospodarstwo, za to, że jej brat Bolesław Wyrostek był żołnierzem Armii Krajowej „Zapory”. Szkapę, wielką i ciężką, niechętnie szła, a nawet opierała się. Ja pospieszyłem cioci z pomocą. Chwyciłem za powróż i prętem popędzałem szkapę, uciekając w stronę lasu. Zza krzaków wyszło czterech pijanych żołnierzy UB i dali mi rozkaz zaprowadzić szkapę do stajni. Kiedy już szkapę wpędziłem do stajni, UB-owcy kazali mi stanąć pod ścianą stodoły i posłusznie odpowiadać na ich pytania. Pytania brzmiały: „Znasz »Zaporę«, których tego żołnierzy, jak się nazywają, gdzie się ukrywają itp.?” Moje odpowiedzi brzmiały: „Nie wiem, nie znam”. Jeden z UB-owców bardziej pijany, jeszcze bardziej mi dokuczał pytaniami i groził: „Mów bo cię zastrzelę!”. Ja byłem prawie pewny, że mnie tylko straszy.

W pewnym momencie zobaczyłem, że ten żołnierz odciągnął zamek automatu, palec trzyma na spuście i lufę podnosi na wysokość mojej klatki piersiowej. Drugi, widząc moje niebezpieczeństwo, chwycił tamtemu za lufę automatu i skierował w dół, a w tym momencie padła seria strzałów między moje rozstawione nogi. Ja zdrętwiałem, ale poczułem, że jakaś siła pchnęła mnie w rosnący z boku wysoki tyczkowy groch. Padły strzały z dwóch automatów ale niecelne. Za grochem rosły wysokie konopie a za konopiami olszowe krzaki i rzeka. Wskoczyłem do rzeki i zniknąłem z oczu UB-owcom.



Prezydent RP Lech Kaczyński wśród „Zaporczyków” w Pałacu Prezydenckim (Warszawa, 05.03.2008 r.)

W rzece było mało wody. Przy brzegach był głęboki muł, a środek koryta to czysty piasek. Prawie biegłem korytem rzeki w kierunku blisko stojącego młyna, którego właścicielem był Zygmunt Chęciński. W młynie pracował jako młynarz Stanisław Pikuła, który widząc mnie przez otwarte okno, wybiegł dziurą w podłodze na zewnątrz od strony rzeki i machając rękami, kierował mnie do siebie i do dziury w podłodze młyna. Wciągnął mnie do młyna i ukrył w samym szczycie wielkiej skrzyni, mocno zakurzonej. Po chwili usłyszałem tupot w młynie i docieklawe wypytywanie młynarza o zbiega. Młynarz potwierdził, że widział uciekającego, który uciekł do lasu. Od młyna do lasu było około 50 metrów. Rewizji we młynie nie było. Przemoczony doszczętnie siedziałem w kryjówce do wieczora. Młynarz Stanisław Pikuła zapewnił mnie, że już jest zupełna cisza i mogę z młyna wyjść. Pod wielkim wrażeniem, ostrożnie poszedłem osuszyć się i przenocować u kolegi Kazika Grzebuły. W tym domu wcześniej i później spędziłem wiele nocy i dni.

W Urzędowie, a w szczególności na przedmieściu Bęczyn, każdy dzień miał swoją bardzo ciekawą historię. Mieszkańcy Bęczyna byli ścigani, bici, aresztowani, torturowani przez braci Polaków – Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Traktowani byli jak Żydzi przez władze niemieckie. Mimo prześladowań, „Zapora” ze swym wojskiem był ceniony i przyjmowany o każdej porze doby.

W marcu 1946 r. podczas roztopów wiosennych woda płynęła z lasów i pól i zatapiała wiele zabudowań położonych nisko przy lesie w Bęczynie. Zebrało się nas około kilkunastu osób i przystąpiliśmy do przekopania rowu przez odcinek lasu w kierunku rzeki. Zajęci intensywną pracą, zostaliśmy napadnięci przez dużą grupę UB-

owskiego wojska. Ja z chorą nogą nie mogłem uciekać, więc dopadli mnie wojskowi – zabójcy. W biciu mnie wyżywali się ile chcieli. Przetnęli mi obojczyk, uszkodzili bardzo poważnie kręgosłup i zalanego krwią, mało przytomnego zostawili mnie w lesie.

Miesiące roku 1946 były piekłem na ziemi. W miesiącach zimowych zakwaterowało w Bęczynie polskie wojsko pod nazwą Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W wielkiej tajemnicy niektórzy żołnierze opowiadali, jak ich przygotowywały władze polskie przed wyjazdem do Urzędowa:

„Urzędów jest to miejscowość bandycka i możesz bić, zabijać, mścić się, wyżywać, używać różnych metod torturowania i nikt cię za to karać nie będzie”. Tak przygotowywały polskie władze swoich sługusów, zbójów przeciwko polskiej bezbronnej ludności. Pełne mieszkania wojska KBW, a w budynkach gospodarczych ukryci partyzanci.

Doborowa grupa ochotników zezwierzęcych UB-owców dokonywała rewizji, rozbijania murów kuchennych, rabunku całego mienia w podejrzanych gospodarstwach. Pozostawiali puste ściany, a ludzi aresztowali, trzymali w lochach UB-owskich, torturowali, a nawet zabijali.

Aresztowali nie tylko osoby podejrzane, ale nawet całkiem niewinne. Aby nie być gołosłownym przytaczam przykłady: UB aresztował Edwarda Chruścielewskiego s. Kornela. Edward był żonaty, mieli córeczkę – urodziwe dziecko, nie wtrącał się do polityki, był garncarzem. Podczas wykonywania swojego zawodu, siedząc przy kręgu garncarskim ubrudzony w glinie, do jego mieszkania weszło wojsko polskie UB. Wylegitymowali, dowody w porządku, ale trzeba Edwarda aresztować, bo jest mieszkańcem Urzędowa. Zawieźli go do Kraśnika. W UB tak go storturowali, że Edward Chruścielewski zmarł po dwóch dniach. Takich przykładów można by przytaczać bardzo wiele. Zadaję pytanie czytelnikom – czy mieszkańiec Urzędowa musiał się ukrywać – czy nie? Gospodarstwa, z których wywodzili się żołnierze AK – WiN były całkowicie likwidowane. Zostało wszystko zrabowane, zostały gołe ściany, a rodziny aresztowane.

Wymieniam gospodarstwa całkowicie zlikwidowane w Bęczynie:

- Feliksa Surdackiego – ojca dwóch partyzantów – Kwiryna ps. „Dzik-Felek” i Leona ps. „Korzonek”,
- Władysława Surdackiego – ojca dwóch partyzantów – Edwarda ps. „Skala” i Jana ps. „Tarzan”,
- Jana Gajewskiego – ojca trzech synów – Gabriela ps. „Oset”, Tadeusza ps. „Nagan” i Stanisława ps. „Staś”,
- Antoniego Ciempiela – ojca dwóch synów – Józefa ps. „Ziolo” i Henryka ps. „Lipa”,
- Sylwestra Goldasia – ojca dwóch córek sanitariuszek – Apolonii ps. „Polcia” i Sabiny ps. „Róża”,
- Stanisława Wośki – brata Konstantego ps. „Głaz” i siostry sanitariuszki ps. „Bławat”,
- Piotra i Marii Witków za brata Bolesława Wyrostka ps. „Jar”, „Przemysław”,
- Piotra Surdackiego – ojca partyzanta AK – WiN Roberta ps. „Jurek”.

W lutym 1947 r. została ogłoszona amnestia, lecz aresztowania nie ustały. W marcu 1947 r. przestali aresztować

i dali nakaz akowcom składania broni i ujawniania się. Dali gwarancję żołnierzom AK – WiN, że po ujawnieniu każdy będzie wolny, dostanie pracę i będzie mu wszystko darowane. Akowcy pragnąc wolności ujawniali się. Po ujawnieniu – ciche aresztowania. Chłopcy bojąc się aresztowania szli do Ludowego Wojska Polskiego a nawet do Milicji Obywatelskiej, nie będąc zdrajcą lecz celem ukrycia się. Aresztowania akowców przybierały na sile. Wyłuskiwano akowców w wojsku i gdzie tylko ich znaleziono. Chłopcy dezertowali z wojska i szli do oddziału WiN „Zapory”. Przytaczam przykład aresztowanych akowców zaraz po ujawnieniu się.

- Jan Surdacki s. Władysława ps. „Tarzan”,
- Leon Surdacki s. Feliksa ps. „Korzonek”,
- Józef Ciempiel s. Antoniego ps. „Zioło”,
- Władysław Kochański s. Jana ps. „Wladek”,
- Władysław Sobkiewicz ps. „Czajka”.

Ci ujawnieni żołnierze AK – WiN aresztowani przez UB, okrutnie torturowani w aresztach, w jakiś niewiadomy mi sposób wyrwali się z aresztów UB-owskich na wolność i rozpoczęli ponowne ukrywanie się. Władze UB rozplakatowały listy gończe, obiecując wysoką nagrodę za wydanie ich. Znalazła się zdrażczyni, która wydała ich na śmierć. Dnia 9 lipca 1948 r. UB-owcy okrzykli budynki Władysława Chruścielewskiego w Urzędowie – przedmieście Zakościelne i ukrytych tam pięciu ostatnich żołnierzy „Zapory” wybili. Jeden z postrzelonych żołnierzy z tej piątki jeszcze żył, więc jak dzisiaj donoszą naoczni świadkowie, zakopali UB-owcy żywego człowieka.

Ja, bojąc się aresztowania, udałem się do szkoły średniej w Lublinie we wrześniu 1948 r. Byłem już uczniem trzeciej klasy – liczyłem na to, że UB już zapomniał o mnie.

Dnia 2 lutego 1951 r. bardzo wczesnym rankiem stanęło nade mną jeszcze śpiącym w łóżku dwóch urzędników Bezpieczeństwa z rewolwerami w rękach. Obudzili mnie, okazali legitymację UB i dokonując rewizji aresztowali mnie. Z okazanej mi legitymacji wyczytałem nazwisko UB-owca Jan Majorek z Wysokiego. Zaprowadzili mnie na ulicę Krótką nr 4, gdzie mieścił się Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Kazali mi wejść do pustego, małego pomieszczenia, coś w rodzaju ubikacji lecz bez muszli klozetowej. Wieczorem wzięli mnie na zeznania. Kazali usiąść mi sztywno na taborecie z dala od biurka, nie garbiąc się i ręce trzymać na kolanach.

Było czterech śledczych, a między nimi obydwa, którzy mnie aresztowali. Zadawali pytania i przymuszali do szybkich odpowiedzi. Z początkowych pytań nie mogłem wywnioskować, za co mnie aresztowali. W ciemnej kajucie byłem sam przez cztery dni, a przesłuchania były bardzo częste – w szczególności późnymi wieczorami, kiedy zaczynałem być senny. Pytali do jakiej organizacji jeszcze należę, kto dowódcą i kim są moi koledzy? Jaką posiadam broń, skąd pochodzi i do kogo z niej strzelam? Za co zabiłem sowieckiego oficera i gdzie jego zwłoki? Z kim mam kontakty, działając jako szpieg? Za odpowiedzi „nie wiem, nie znam” byłem karany biciem. Innych odpowiedzi nie dawałem, bo przecież nie należałem do organizacji, nie posiadałem broni, nie byłem zabójcą i nie byłem szpiegiem. Owszem – korespondowałem z wujkiem

– bratem mojej mamy, który mieszkał we Francji, ale o szpiegostwie nie miałem pojęcia. Słyszałem rozmowę telefoniczną mojego śledczego, widocznie rozmawiał z jakąś dziewczyną, więc mówił, że nie może wyjść na spotkanie, bo ma do rozpracowania faszystowskie zwłoki. Po czterech dniach przebywania w UB-owskiej śmierdzącej kajucie, zaprowadził mnie strażnik do sutereny i wepchnął mnie do cuchnącej celi nr 7 tuż przy ubikacji. W tej celi było trzech wynędzniałych mężczyzn. Podczas każdego przesłuchania pytali mnie o czym mówią współwięźniowie. Mówiłem, że o kobietach i o romansach. Po kilku dniach wspólnego przebywania w celi dowiedziałem się, że jeden z moich towarzyszy nazywa się Plewko i jest więziony za pracę w granatowej policji przed wojną. Drugi kolega jest studentem KUL-u i na imię ma Feluś. Trzeci jak się nazywał nie pamiętam.

W celi nr 7 byłem więziony do Wielkiego Czwartku przed Świątami Wielkanocnymi. W czwartek około godz. 16 zostałem wezwany na zeznania. Śledczych było trzech, a między nimi mój „aniołek stróż” – Jan Majorek. Śledztwo było bardzo dokuczliwe z twardymi, mocnymi zarzutami. Po około dwóch godzinach śledczej udręki, odeszło dwóch, a ze mną został tylko Majorek. Majorek namawiał mnie, abym podpisał współpracę z UB to mnie zwolni na święta do domu. Ja kategorycznie odmówiłem. Majorek mówi: „Grozi ci ciężkie więzienie, więc korzystaj z szansy, podpisz a jeszcze dziś pójdziesz do domu”. Po niedługim targu obiecałem podpisać ale po powrocie ze świąt z domu. Majorek godzi się na moją propozycję. Daje mi warunek: „Gdy będziesz wśród grona koleżeńskigo to najeżdżaj na rząd, na UB i wszystkie słowa jakie usłyszysz od dyskutantów masz telefonicznie przekazać. Pójdziesz na pocztę w Urzędowie, tam będą dyżurowały telefonistki i podasz im numer telefonu w Lublinie i że rozmowa tajna. Telefonistka musi cię natychmiast połączyć, a ty wszystko nam powiesz”. Zastrzegł, że jeśli tego nie spełni to mocno pożałuję. Oddał mi moje rzeczy zabrane do depozytu, dał mi przepustkę i wypuścił na wolność. Pospieszyłem na dworzec kolejowy i nocnym pociągiem odjechałem do Kraśnika. Z dworca kraśnickiego nocą niósł mnie wiatr, lecz szybko uchlubłem [zmęczyłem się], a odległość od dworca do Bęczyna prawie 15 km. Okropnie uchlubłem lecz bałem się usiąść i z wielkim trudem dotarłem do domu rodzinnego. Święta z rodzicami spędziłem szczęśliwie, nie myśląc o żadnych meldunkach. Modliłem się o szczęśliwe spędzenie świąt i szczęśliwy powrót do szkoły. W drugi dzień świąt – śmigus. Koledzy zaproponowali, żebyśmy poszli do koleżanek na drugie przedmieście. Staliśmy – kilku kolegów na podwórku Kazika Grzebuły. Ja zauważyłem, że w naszym kierunku w kapeluszu i brązowym płaszczu skórzanym idzie Jan Majorek. Powiedziałem kolegom, że tamten pan idzie za mną. Koledzy ze mnie drwili, że gdzie by za takim mikrusem szedł UB-owiec z Lublina. Udaliśmy się przez łąki w kierunku Urzędowa. W Urzędowie zaszliśmy do koleżanek – siostr Graboszczanek – Sylwii i Teresy. Siedzieliśmy przy gościnnym stole. Był już wieczór. Ojczym dziewcząt, Konstanty Gajewski, zauważył, że do okna ktoś zagląda w kapeluszu i skórzanym płaszczu. Pan Gajewski chciał wybiec z mieszkania i przepędzić

w bardzo ważnych sprawach. Władze PRL znały przevinienia Pudzewicza jako szefa policji i za wszelką cenę chcieli go zdobyć.

Prawdopodobnie zmusiły ciotkę Rysia Pudzewicza, by napisała list do ojca Rysia następującej treści: „Szwagrze! Rysio umiera i woła tato chodź!”. Zrozpaczony ojciec otrzymuje zezwolenie i zapewnienie, że będzie bezpieczny w Polsce, wsiada do samolotu i ląduje na warszawskim lotnisku. „Aniołowie stróżowie” z Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie wepchnęli Pudzewicza do czarnej limuzyny i powieźli do więzienia na ulicę Rakowiecką w Warszawie. Po wielomiesięcznym pobycie w więzieniu, storturowanego, wyniszczonego kalekę, kapitana Józefa Pudzewicza przywieźli UB-owcy do lubelskiego UB na ul. Chopina 18 w Lublinie.

Uwięziono mnie w celi nr 9. W celi nr 9 zastałem następnych więźniów: księdza Teterę z zakonu radecznickiego, Zbigniewa Kołtuniaka – licealistę z Zamościa i Albina Chmurę – licealistę z Lublina. Wymienieni więźniowie byli związani z działalnością Armii Krajowej.

W lochu UB-owskiego aresztu na ul. Chopina 18 była okropna wilgoć; woda spływała ze ścian i sufitu. Prycze i odzież, w której byliśmy na co dzień i którą przykrywaliśmy się podczas snu, były mokre. O Zbyszku Kołtuniaku wiedziała rodzina gdzie się znajduje, więc przysłało mu pieniądze na tzw. wypiskę, tj. na zakup żywności. Zakupu żywności za te pieniądze dokonywali klucznicy, dzieląc się pieniędzmi na wielką niekorzyść więźnia. Doręczona więźniowi żywność: cukier, smalec, chleb – psuła się natychmiast z wilgoci. Korytarz lochu był długi – około 20 metrów. Cele więzienne, a szczególnie ich progi były wyższe o około 40 cm. Korytarz wyglądał jak wycementowane koryto, w które UB-owcy nalewali po brzegi wodę z kranu a więźniowie bosy musieli tę wodę wybrać kubłami i ścierką do zlewu. Było to tak zwane „mycie korytarza”. Mycie to trwało około dwóch godzin – bosymi nogami stojąc w zimnej wodzie po kolana na posadzce. Po umyciu korytarza, nogi więźnia były drętwe i sztywne. Mycie korytarza bywało po kilka razy dziennie. Jeżeli klucznikowi więzień nie przypadł do gustu, to więzień ten mył korytarz codziennie. Zdrowie więźnia gasło każdego dnia.

W obydwu aresztach UB-owskich byłem więziony w czasie śledztwa.

Pewnego dnia strażnik wyprowadził mnie z celi i zaprowadził na piętro. Bywało to dość często, ale tym razem prowadził mnie na śmierć, o czym nie wiedziałem. Gdy znalazłem się w pokoju śledczym i kazano usiąść mi na taborecie przy zamkniętych drzwiach, urzędnik śledczy szukał czegoś w szufladzie biurka. Położył rewolwer na stole i coś włożył do kieszeni spodni, na pewno drugi rewolwer. Rozkazał mi przyjść do biurka, a sam z boku na mnie czekając, mocnym ciosem uderzył mnie w twarz. Zachwiałem się, a UB-owiec ciosy powtarzał. Upadłem i szybko podniosłem się z myślą, że chwycę za leżący na biurku rewolwer, ale coś mnie wstrzymało. Uprzątnięm sobie, że to celowy chwyt, że rewolwer na biurku jest na pewno bez amunicji. UB-owiec krzyknął: „Czego nie strzelasz?”, a ja na to – „Bo nie jestem takim bandytą jak ty”. Oskarżył mnie wówczas o obelgę, zawołał strażnika

i obydwaj strasznie mnie bili. Zbroczonego krwią strażnicy zwlekli mnie do celi. Śledczy UB-owiec miał ochotę zastrzelić kolejnego akowca, liczył na to, że chwycę za leżący rewolwer, a on niby ratując swoje życie, zastrzelił mnie z największą satysfakcją.

Cele były bez okien, świeciła się tylko mała świecowa żarówka. Wzrok więźnia był przyzwyczajony do mroku i zmiana światła wpływała bardzo ujemnie na oczy. Pod koniec czerwca 1951 r. wyprowadzono mnie z celi, zakuto w kajdany, wepchnięto na mały samochód bez dachu i w jaskrawy, słoneczny i wietrzny dzień powieźli do Zamku Lubelskiego.

WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE
Do NACZELNIKA WIĘZIENIA
w Lublinie - Krasów
Lublin, dnia 22 czerwca 1951 r.

Nakaz przyjęcia

Nazwisko i imię: Gajewski Stanisław
Miejsce zamieszkania (ulica i numer domu): Lublin
Miejsce urodzenia: Urszów pow. Krasów
Data urodzenia lub wiek w przybliżeniu: 17.6.1930
Winien być osadzony w areszcie tymczasowym jako
oskarżony o: przynależność do nielegalnej organizacji
Postanowienie o aresztowaniu z dnia 22.6. 1951 r.
W załączeniu: Władysław Urszowy Naczelnik (Sędzi) Województwa Lubelskiego Publicznego
w Lublinie
A G A! Nazwy miesięcy wypisywać liczbami potem literami.

ZA ZGODNOŚĆ
ARCHIWUM
Delegatury UOP w Lublinie

Poczułem klucie i pieczenie w oczach. Wiatr studził moje powieki. Już w bramach Zamku zacząłem ślepnąć. Opuchlizna atakowała moje oczy. Widziałem jak przez mgłę. W Zamku między dwiema zakratowanymi bramami na przeciagu stałem twarzą do ściany z zakutymi w kajdany rękami w tył, około dwóch godzin. Wepchnięto mnie następnie do ciemnej kajuty – składu węglowego. W tym pomieszczeniu byłem przez całą noc do rana. Mocno towarzyszyły mi szczury, ocierając się o moje ciało, pewnie miały ochotę posmakować ludzkiego mięsa. O spaniu nie było mowy, nawet sen mi nie dokuczał. Oczy moje piekły, dokuczliwie klując. Na drugi dzień otworzyły się drzwi kajuty i ktoś zapytał: „Żyjesz to wylaż?”. Zaprowadzono mnie do biura. Młoda urzędniczka wpisała moje nazwisko i imię do grubej księgi (rejestru więźniów). Pouczono mnie, jak mam się zachowywać w więzieniu. Wszystkie ostrzeżenia były zagrożone karą śmierci. Liczyłem, że te zakazy są wyolbrzymione. Z powodu choroby oczu, strażnik podał skierowanie i przyjął mnie lekarz więzień w więziennym ubraniu i drewniakach na nogach. Lekarz – więzień był bystry, średnio młody, może niedawno po studniach, ale uprzejmy z przyjacielskim współczuciem. W szpitalu warunki były dość dobre. Po tygodniu ból oczu ustąpił, opuchlizna zeszła. Przeprowadzono mnie na

oddział czwarty – ścisły i wpuszczono do maleńkiej celi pod nazwą „Separatka F”. W separatce zastałem dwóch więźniów. Bacznie mnie obserwowali. Opowiedziałem skąd przybyłem, uwierzyli mi, że nie jestem kapusiem. Jeden z nich siadł plecami do ściany i jak dzięcioł stukał w ścianę. Zza ściany również słyszałem stukanie. Pytam co to ma znaczyć to stukanie? Zdradzili mi więzienną tajemnicę, że ta więzienna rozmowa odbywa się alfabetem Morse’a.

W celi zamkowej separatce F więzieni byli: ksiądz proboszcz z parafii Kłodnica woj. lubelskie – Józef Perskiewicz za współpracę z oddziałami AK – WiN „Zapory”. Drugim więźniem był instruktor ze Szkoły Średniej Zawodowej w Zamościu pod dowództwem porucznika Mariana Pilarskiego ps. „Jar”. Doszła do nas wiadomość, że porucznik M. Pilarski „Jar” został skazany na karę śmierci i wyrok został wykonany. Po dwóch tygodniach mojej obecności w separatce F strażnicy przyprowadzili młodego więźnia do naszej celi, który robił wrażenie umysłowo chorego. Nazwiska nie pamiętam, a na imię miał Żdzicho. Skarżył się, że podczas śledztwa tak mu UB-owcy dokuczali, że teraz nie wie, co się z nim dzieje. Objawy choroby umysłowej były widoczne. Robił dziwne ćwiczenia, a nawet łapał muchy i jadł je żywe. Żdzicho wszystkiego się bał i nam kazał się chować, bo gonia, będą strzelali, zabijali. Po niedługim czasie strażnicy zabrali Żdzicha i już nie wrócił.

Pewnego słonecznego dnia stanąłem na łóżku i przez zakratowane okienko wyjrzałem na świat. Zauważył mnie strażnik stojący na obserwatorze z karabinem maszynowym i spostrzegłem, że lufę karabinu skierował w moim kierunku. Natychmiast skryłem się, a do drzwi naszej celi hałaśliwie dobijali się strażnicy, otworzyli i uporczywie krzyczeli: „Kto wyglądał oknem?”. Nikt z nas nie przyznał się. Teraz zrozumiałem, że ostrzeżenia zagrożone karą śmierci były prawdziwe, bo strażnik z obserwatora miał zamiar do mnie strzelać. Do naszej celi zbiegło się wielu strażników, robili szczegółową rewizję, badali kraty czy nie uszkodzone, narobili nam wielkiego bałaganu. Według języka więziennego rewizja taka szczegółowa nazywała się „chypisz”.

Ponieważ śledztwo moje już było zakończone, to około połowy lipca 1951 r. wyprowadził mnie strażnik z celi i zaprowadził na plac zamkowy koło baszty.

Kazał mi stać twarzą do ściany i ręce założyć w tył na pośladek. Niedaleko ode mnie tak postawionych stało już dwóch więźniów. W niedługim czasie stało już nas sześciu. Wszystkich sześciu kajdankami skuli do siebie. Żaden z nas nie miał ręki wolnej, bo obydwie ręce były przykute do sąsiadów. Wepchnęli nas do karetki więziennej i zawieźli na ul. Chopina 5, bo tam była prokuratura wojskowa. W karetkę pilnowało nas czterech UB-owców z automatami. Ja siedziałem blisko zasłoniętego i zakratowanego okna, ale szparą widziałem ruch uliczny. Zauważyłem moją koleżankę szkolną, która była moją sympatią – Hanię Żydkównę. Zrobiło mi się przykro, że ona wolna na ulicy, a ja zakuty w kajdany pilnowany przez zbójców z automatami. Lży pociekły mi po policzkach. Jeden z UB-owców, widząc mój żal, szorstko zapytał: „Czego się mażesz bandyto?”. Ja odpowiedziałem: „Moja

dziewczyna wolna na ulicy, a ja zakuty w kajdany nie wiem gdzie jadę, może na śmierć”. Obok mnie siedział do mnie przykuty więzień o szlachetnej twarzy, ale bardzo zniszczony, pewnie partyzancki oficer. Ujął się za mną i mówi do UB-owskiego intruza: „Ten więzień płacze, bo skute ma obydwie ręce, bo jest prawdziwym Polakiem a jest bezbronny, a ty żydowski pachółku zamiast mu współczuć, to jeszcze drwisz. Wspomnisz moje słowa, że jeszcze ty będziesz tak siedział, jak my dzisiaj, zobaczysz jaka to przyjemność”. UB-owiec coś mruknął, ale ucichł. Karetką więzienna zatrzymała się na ul. Chopina nr 5, gdzie widniał napis: Prokuratura Wojskowa w Lublinie.

Z samochodu wyciągnęli nas wszystkich skutych do siebie, dopiero na korytarzu prokuratury rozkuli nasze ręce.

Mnie wprowadził strażnik do pokoju, gdzie siedział oficer niby polski. Zapytał o moje nazwisko, imiona rodziców, datę urodzenia. Odszukał moje akta i odczytał mi akt oskarżenia. Oskarżony byłem z trzech artykułów: art. 86 §2 za przynależność do nielegalnej organizacji, art. 4 – za posiadanie broni i art. 7 – za szpiegostwo polsko-francuskie.

Za te przewinienia najłagodniejsza kara to 15 lat pozbawienia wolności. Prokurator ma podstawy domagać się kary śmierci. Z tą wesołą nowiną wróciłem zakuty w kajdany do separatki F. Czekam na rozprawę Sądu Wojskowego przeciwko mnie tak niebezpiecznemu przestępcy dla Polski Ludowej.

Pewnego ranka otwierają się szeroko drzwi celi. W drzwiach staje dwóch strażników z bronią i wołają: „Perskiewicz wychodź!”. Ksiądz J. Perskiewicz pożegnał nas słowem katolickim: „Zostajcie z Bogiem” i wyszedł. UB-owcy strażnicy wybuchli śmiechem, zamykając drzwi celi. Ksiądz nie wraca cały dzień, myśleliśmy, że pojechał do ZSRR obejrzeć białe niedźwiedzie. Wczesnym wieczorem wraca ksiądz całkiem załamany i płaczący. Ze współczuciem pytamy księdza: „Bili?”. Ksiądz nie chce mówić, prosi o spokój. Położył się na swoim miejscu w piętrowym więziennym łóżku. Ja leżę nad księdzem i słyszę, że nie śpi. Wczesnym rankiem jeszcze przed pobudką, ksiądz budzi nas: „Koledzy, śpicie?”. Powiem wam, gdzie wczoraj byłem. Byłem na sprawie sądowej. Sądził partyzanta, którego znałem i bardzo lubiłem, skazali go na karę śmierci i rozplakał się. Ja pytam: „Księżu, kogo?”. Ksiądz odpowiada: „Nie znasz go, nie pytaj”. Ja natrętnie pytam: „Księżu, kogo?”. Ksiądz odpowiada: „Morwę”, ja pytam: „Mariana Pawełczaka?”. Jezus, Maria, dwóch braci Pawełczaków: Jurek ps. „Jur” i Janusz ps. „Głaz” zabici przez UB, najmłodszy brat Gienek silnie prześladowany przez UB popełnił samobójstwo, a Mariana – jedyne syna u rodziców skazali na karę śmierci?! Wszyscy trzej więźniowie w separatce F wybuchliśmy płaczem. Upływały dni w marzeniu o wolności w prawdziwie wolnej Polsce. Kiedy po Świątach Wielkanocnych odjechałem od rodziców do Lublina, za kilka dni przyjechało do moich rodziców kilkunastu UB-owców z milicją z urzędowskiego posterunku i dokonali szczegółowej rewizji do tego stopnia, że nawet rąbali podłogi. Szukali broni. Znaleźli 5 sztuk amunicji i to nie jednego typu. Niedługo do rodziców dotarła wiadomość, że ja jestem ponownie

aresztowany. Chodzili i płakali. Mama spotkała się ze szczerą koleżanką Janiną Chęcińską i rozpaczliwie mówi: „Miałam trzech synów, tak się ładnie chowali, nie kaleki, urodziwe, a dzisiaj nie mam nic”. Chęcińska perswaduje: „Nie rozpaczaj Łodziu, ja mam dobrego adwokata kuzy- na w Lublinie, pojedę z Tobą. Pojedziemy do adwokata i może Twojego syna znajdziemy, pomogę ci”.

Któregoś lipcowego dnia przed obiadem otworzyły się drzwi celi separatki F i strażnik zawołał: „Gajewski wychodź!”. Wyszedłem na korytarz i widzę starszego pana z teczką. Nieznajomy pan poprosił strażnika o pomieszczenie, w którym moglibyśmy obydwaj bez przeszkód porozmawiać. Strażnik wprowadził nas do pustego pomieszczenia. Nieznany mi pan oświadczył, że jest adwokatem urodzonym w Urzędowie i chce mnie bronić, bo grozi mi kara śmierci. Ja już poznałem UB-owskie kombinacje i nie wierzyłem nieznajomemu. Wyjął dowód osobisty i przekonywał mnie, że chce prawdziwie mnie bronić. Rozmowy nasze były niedługie i mało wartościowe. Za dwa lub trzy dni pan adwokat odwiedził mnie ponownie. Rozważyłem, że może faktycznie jest to mój przyjaciel. Opowiedziałem o mojej niewinności tak jak faktycznie było. Czułem się niewinny.

13 sierpnia 1951 r. około godz. 10 otworzyły się drzwi naszej celi. Strażnik zawołał: „Gajewski zabieraj manatki i wychodź!”. Wszyscy trzech byliśmy pewni, że idę na sprawę sądową, a po sprawie na wolność albo na śmierć, względnie do celi śmierci. W towarzystwie strażnika wychodzę z oddziału czwartego. Strażnik przedstawia kartę innemu strażnikowi. Otwiera się żelazna brama, a następnie druga i wchodzę do biura zamkowego. Pracownik biura, pewnie UB-owiec, przynosi moje rzeczy przechowywane w depozycie. Młoda pracownica wypisuje mi kartę zwolnienia z więzienia politycznego i mówi: „Idź i więcej tu nie wracaj”.



Prezydent RP Lech Kaczyński odznacza Stanisława Gajewskiego Krzyżem Kawalerskim (19.10.2008 r.)

Karta zwolnienia więźnia śledczego

Więzienie Lublin Więzień śledczy Gajewski Stanisław o Janu

2 11 1951 został zwolniony został

Księga więźniów dzisiaj o godz. 11 z aresztu przewencyjnego

Udaje się do Urzędowa

Nr 3260/57 dnia 13 sierpnia 1951 r.

[Signature]

Naczelnik więzienia

D. W. 65 Karta zwolnienia więźnia śledczego Nr 155 XI/49 Drukarnia Nr 3

Nie mogłem uwierzyć, bo coś mi mówi, że to nieprawda, bo bywa tak, że więzień zostaje zwolniony z więzienia, wychodzi za bramę, a za nim spieszy UB-owiec, grozi bronią i wraca więźnia z powrotem, celem podpisania następnej sankcji do odsiadki. Wychodzę, strażnicy otwierają mi następnych 5 bram, bo było wszystkich 7. Jestem już poza warownym ogrodzeniem więzienia Zamku Lubelskiego. Nie mam ochoty odchodzić daleko, bo za chwilę zostanę wrócony i wprowadzony do Zamku z powrotem. Idę, je-

stem już w Bramie Grodzkiej, nikt mnie nie zatrzymuje, tylko przechodnie oglądają się na mój widok. Jestem na Starym Rynku – ulica Złota. Na tej ulicy jest w głębi mój szkolny kościół Dominikanów. Wchodzę do kościoła, zrobiło mi się tak przykro i tęskno za rodzicami, że łzy płyną mi po policzkach. Uklęknałem przed ołtarzem i modłę się prawie na głos o szczęśliwy powrót do rodziców. Modłę się do Świętego Antoniego, patrona zagubionych. W kościele byłem dość długo, uczułem spokój i pocieszenie. Wychodzę z kościoła, rozglądam się – czy nikt na mnie nie czeka, czy nikt mnie nie obserwuje? Dokąd iść? Nie znam rozkładu jazdy pociągów. Należałoby szukać wujka Bolesława Wyrostka, który przed moim aresztowaniem mieszkał w Lublinie przy ulicy Dolnej Panny Marii, ale mieszkał w ukryciu, bo również jako żołnierz Armii Krajowej był ścigany przez UB. Udaję się na ulicę Dolną Panny Marii, bo tam również mieści się moja szkoła średnia – odzieżowa, z której zostałem zabrany i aresztowany przez UB. Jestem przy bramie mojej szkoły. Dzisiaj jest 13 sierpnia, wakacje szkolne, na pewno nikogo tu nie ma, ale wchodzę na klatkę schodową. Jestem w połowie klatki schodowej i słyszę kroki po korytarzu pierwszego piętra. Widzę, że zbliża się pan dyrektor mojej szkoły Michał Lots. Kłaniając się, głośniejszym głosem mówię: „Dzień dobry Panie Dyrektorze!”. Dyrektor nie reaguje na mój

głos. Ukłon powtarzam i głośniejszym głosem mówię: „Dzień dobry Panie Dyrektorze!”. Pan Lots zatrzymuje się i badawczo przygląda się przybyszowi. Uśmiechnąłem się i pytam: „Czy Pan Dyrektor mnie nie poznaje?”. Dyrektor wraca do mnie i pyta: „To ty, Gajewski?” a w jego oczach widzę łzy. Zaprasza mnie do kancelarii. Dyrektor wchodzi pierwszy i mówi: „Patrzcie kogo wprowadzam”. W kancelarii byli: ostatni wychowawca naszej klasy Stanisław Pastusiak, sekretarka, której nazwiska nie pamiętam oraz instruktor krawiecki P. Sobczyk. Na zdziwionych twarzach widać było współczucie i łzy w oczach. Pytali: „Skąd wracasz?”, więc mówię – z Zamku Lubelskiego. Pan Pastusiak upomniał mnie, abym mało przebywał na słońcu i nie spożywał tłustych potraw, bo może mi grozić zapalenie opon mózgowych i choroba żołądka lub innych organów. Po godzinnej rozmowie w szkolnej kancelarii, udałem się odszukać wujka. Wszedłem do mieszkania właścicielki tego mieszkania i uśmiechnąłem się do znajomej pani – pytam o wujka Bolesława Wyróstka. Wystraszona kobieta po prostu krzyczy, że u niej nikt nie mieszka, żaden Wyróstelek i badawczo patrzy na przybysza. Uśmiechnąłem się i łagodnie pytam: „Czy Pani mnie nie poznaje?”. Pani jak gdyby wstrzymała oddech, rzuciła się do mnie i pyta: „Czy Staś? Tak, Staś. Panie Bolesławie, przyszedł Staś!” i mocno zapłakała z radości. Już we troje usiedliśmy do gorącej herbaty i posiłku. Opowiadałem o swoich przeżyciach w więzieniu... Zanocewałem u wujka, a rano wyruszyliśmy do dworca kolejowego w kierunku domu rodziców. Podróżowaliśmy cały dzień, bo nie mogłem pokonać pieszej podróży z dworca PKP Kraśnik do Bęczyna – prawie 20 km.

W domu radość rodziców i duże łzy. Zmęczony położyłem się do mojego dawnego łóżka pod świeżutką, czyściutką pościelą. Przyszły koszmarne sny, ponowne aresztowania, wleczenie do ciemnych korytarzy i cel więziennych, próba ucieczki, gwałtowne ruchy na łóżku, jakieś jęki, że aż mama się obudziła i obudziła mnie. Jak wdzięczny byłem mamie za przerwanie mi snów. Podobne sny prześladowały mnie przez wiele nocy. Mama pojechała do adwokata, pana Włażlackiego, celem uregulowania powinności. Adwokat nakazał, abym natychmiast do niego przyjechał. Rozmawiając z adwokatem dowiedziałem się, że moja sprawa jest zawieszona ze względu na brak konkretnych dowodów na osadzenie mnie. Zwolnienie mnie jest podstępem, abym na wolności cokolwiek podpadł, wtedy będą mieli UB-owcy podstawę do prawdziwego uwięzienia mnie. Pan adwokat pouczył mnie, jak zachowywać się na wolności, aby nie podpaść. Po tym ostrzeżeniu nie spotykałem się z młodzieżą, nie korzystałem z rozrywek młodzieżowych, byłem skryty i oswiały. Zaczynałem tracić sympatię w gronie koleżeńskim. Ojciec mój, mając dobrą znajomość z pracownikami Nadleśnictwa Państwowego w Dzierzkowicach, załatwił mi pracę umysłową w tym biurze jako referent rachunkowości do spraw defraudacji. Prawdziwa nazwa mojego stanowiska brzmiała „Manipulant rachunku”.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych rząd PRL gnębił rolnika obowiązkowymi dostawami i zakładaniem spółdzielni produkcyjnych. Do dręczenia rolnika przymuszali pracowników z różnych instytucji. Każdy

urząd czy instytucja musiała delegować jednego pracownika do Powiatowej Rady Narodowej na szkolenia – jak należy dręczyć i mordować rolnika, aby rolnik oddał swoją ziemię do spółdzielni produkcyjnej. Mimo wielkiej niechęci, z Nadleśnictwa zostałem wydelegowany – ja. Urząd Bezpieczeństwa przestał mnie prześladować, bo myślał, że zostałem ich człowiekiem. Ja wysłuchałem szkolenia PRL-u i postanowiłem rolnikom nie dokuczać, lecz pomagać. Dostałem do obsługi dwie wsie – Zastawie i Stefanówkę. We wsi Zastawie był bardzo mądry i zacny



sołtys Jan Dudek. Kiedy poznaliśmy obydwa swoje zaprawy na tematy polityczne i postępowania we wsi, to rolnicy uważali nas nie za komunistycznych dręczycieli, lecz za ludzi pomocy. Informowaliśmy wyższe instancje, że w naszych wsiach chłopcy swoje obowiązki regulują prawidłowo i nie ma potrzeby zakładania kolchozów.

Z czasów działań partyzanckich zaprzyjaźniłem się z sanitariuszką Armii Krajowej, z którą w lipcu 1952 r. zawarłem związek małżeński. Wychowaliśmy troje dzieci. Dzisiaj jako dziadkowie żyjemy z emerytury. W maju 1994 r. z gronem koleżeńskim założyliśmy Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” – Stowarzyszenie Społeczno-Kombatanckie Obszar Wschodni w Lublinie Koło w Urzędowie, którego ja zostałem prezesem. Koło WiN Urzędów 30 grudnia 1997 r. liczyło 72 członków, dwie osoby wycofały się na własne żądanie, sześć osób zmarło. Pozostałe osoby widnieją w rejestrze członków Koła WiN Urzędów.

Urzędów, 8 stycznia 1999 r.

Marian Surdacki

Wanda Gawrońska – siostrzenica Błogosławionego

Wanda Gawrońska, mieszkająca w Rzymie, w sercu Zatybrza, obok wspaniałej bazyliki Santa Maria in Trastevere, pochodzi z rodziny, która ma włoskie i polskie korzenie. Jej matką była Luciana Gawrońska z domu Frassati, młodsza siostra bł. Pier Giorgia, a dziadkiem Alfred Frassati – założyciel i redaktor naczelny turyńskiej gazety „La Stampa”, senator, dyplomata, ambasador w wielu europejskich stolicach. W czasie pobytu na placówce dyplomatycznej w Niemczech jej matka poznała młodego sekretarza Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Berlinie Jana Gawrońskiego, którego poślubiła w 1925 r. Gawrońscy mieli siedmioro dzieci, jedno zmarło w czasie porodu. Przed wojną, w związku z pracą Jana jako dyplomaty, rodzina zamieszkiwała w różnych miastach Europy, również w rodzinnym majątku Gawrońskich w Ławrowie, później też w Warszawie. Po wybuchu II wojny światowej Gawrońscy przenieśli się do Włoch. Od tego czasu Wanda Gawrońska mieszka w Rzymie.

Spośród szóstki rodzeństwa, zdecydowanie największe zaangażowanie w sprawy polskie przejawiała Wanda. Jej intensywne związki z drugą ojczyzną i działania na jej rzecz, przybierające charakter świadomie przyjętej misji, rozpoczęły się na szeroką skalę w 1974 r. Wtedy to założyła przy Via Anicia 12 *Centro Incontri e Studi Europei* (CISE) – Centrum Spotkań i Studiów Europejskich. Inicjatywa uzyskała patronat ówczesnego metropolity krakowskiego kardynała Karola Wojtyły. Wykorzystując koligacje rodzinne i sieć szerokich znajomości, w skład kierownictwa organizacji powołała wielu wybitnych przedstawicieli włoskiej polityki i nauki. Wśród pierwszych ofiarodawców był m.in. prezydent FIAT-a Gianni Agnelli.

Celem instytucji było stworzenie ludziom nauki i kultury z Polski możliwości pobytu we Włoszech i otwarcia im w ten sposób okna na świat zachodni. Długa lista stypendystów CISE, kierowanej przez W. Gawrońską, obejmuje nazwiska opozycyjnej elity intelektualnej w Polsce tamtych czasów, osób ze środowisk „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku” i „Więzi”, a przede wszystkim z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Po wyborze na tron papieski Karola Wojtyły Wanda Gawrońska założyła *Associazione Pier Giorgio Frassati*

– *Amici della Università Cattolica di Lublino* (Stowarzyszenie im. Pier Giorgia Frassatiego – Przyjaciele Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego). Pomoc naszemu uniwersytetowi znajdowała szczególne miejsce w ówczesnej działalności Gawrońskiej. Do roku 1988 ze stypendiów przyznawanych za pośrednictwem *Centro* i *Associazione* skorzystało ponad 80 osób. Wśród nich, jako jeden z pierwszych, byłem i ja. Tuż po studiach,



Jan Gawroński i Luciana Frassati



Wanda Gawrońska

w roku akademickim 1980/1981, otrzymałem roczne stypendium, składające się z dwumiesięcznego kursu języka włoskiego na Uniwersytecie dla Cudzoziemców w Perugii oraz stażu na Uniwersytecie *La Sapienza* w Rzymie pod kierunkiem prof. Gabriele De Rosa. Ów pobyt we Włoszech zdeterminował całe moje przyszłe życie i karierę naukową.

W tym czasie Wanda Gawrońska stała się nieformalnym ambasadorem w Rzymie przynajmniej dla niezależnych środowisk z naszego kraju, a Centrum ich „polską ambasadą”.

Centro posiadało bibliotekę z bardzo bogatym zbiorem wydawnictw emigracyjnych, zabronionych i niedostępnych w kraju. Mieścił się tam również jeden z kilku rzymskich punktów darmowego rozdawnictwa nielegalnych publikacji, które stypendyści masowo zabierali do kraju. Dzięki temu Biblioteka Uniwersytecka KUL posiadała najbardziej kompletny we wschodniej Europie zbiór zakazanych wydawnictw. W drugiej połowie lat 70. Wanda Gawrońska wielokrotnie osobiście kolportowała

emigracyjne wydawnictwa („Kultura”, „Aneks”) do Polski, dbając, by trafiły zwłaszcza do młodzieży. Czyniła to przy okazji przewożenia książek o Pier Giorgiu oraz w czasie organizowania poświęconych mu wystaw. Na wszelkie sposoby sama poszukiwała kanałów przerzutu zakazanej literatury do Polski.

Jedną z ważniejszych misji Wandy Gawrońskiej było gratisowe wysyłanie książek naukowych do Polski, a także innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Najhojniej obdarowywana była Biblioteka Uniwersytecka KUL, łącznie z wielkimi wielotomowymi encyklopediami i kompletem czasopism naukowych. Tą drogą otrzymała ona kilkanaście tysięcy książek i innych unikatowych publikacji.

Mecenat Wandy Gawrońskiej nad nauką i kulturą polską przyjmował różnorodne formy. Jedną z nich były organizowane w *Centro* wykłady, seminaria i konferencje, zapewniające przyjezdnym kontakty z ciekawymi osobistościami kultury, nauki i polityki włoskiej, nieraz także i polskiej. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych zapraszała i gościła pani Wanda liczne wycieczki, sponсорując ich pobyt w Rzymie i w innych miejscach.

Dużą atrakcją dla polskich stypendystów w Rzymie, i to nie tylko zaproszonych przez CISE czy *Associazione*, było uczestnictwo w wyjazdach do różnych miejsc i miast o wyjątkowych walorach historycznych i kulturalnych. Czasami były to zaproszenia na koncert, innym razem na zwiedzanie wystaw i muzeów, połączone z uroczystym obiadem lub kolacją. Wszystko to było organizowane przez *Approdo Romano* – stowarzyszenie arystokratycznych rodów i przedstawicieli dyplomacji, kierowane przez markizę Serlupi. Dla swoich polskich przyjaciół i stypendystów W. Gawrońska zawsze wyprosiła dwa, trzy gratisowe zaproszenia. Nie ma chyba takiego stypendysty KUL-u, który nie skorzystałby z tego typu atrakcji. Sam kilkanaście razy uczestniczyłem w takich wyjazdach czy spotkaniach.

Opisane wyżej dziedziny i formy działalności na rzecz nauki polskiej nosiły znamiona wolontariatu, jednakże w prawdziwą aktywność charytatywną zaangażowała się Wanda Gawrońska w okresie stanu wojennego i tuż po jego zakończeniu. Prowadzone przez nią *Centro* stało się ważnym ośrodkiem legalnej i nielegalnej pomocy dla kraju. Szczególnie na KUL płynęły tysiące paczek z odzieżą, żywnością i lekarstwami. Dzięki jej interwencji u ministra poczty, parlament włoski zwolnił z opłat pocztowych przesyłki do Polski w czasie stanu wojennego. Włosi związani z *Centro*, „zwerbowani” przez nią do akcji pomocy, masowo zaczęli wysyłać paczki do najbiedniejszych rodzin z KUL-u. Sam poniekąd włączyłem się w tę inicjatywę, tłumacząc i pisząc listy wielu paniom z naszej uczelni (kucharkom i sprzątaczkom), które otrzymywały materialne wsparcie. Akcja ta została z czasem rozszerzona na finansową adopcję na odległość.

Pomoc naszej Bohaterki przejawiała się też na płaszczyźnie medycznej. Dzięki siostrze, księżnej Grazii i jej mężowi Forese Salviati – fundatorom i członkom zarządu szpitala *Bambino Gesù* – z bezpłatnych konsultacji lekarskich i hospitalizacji w tej placówce skorzystało mnóstwo polskich dzieci. W szpitalu pracowali na stażach polscy

lekarze pediatri, wysyłano też z niego paczki z aparaturą medyczną i lekarstwami. Osobiście widziałem i znałem wiele osób, które dzięki interwencji pani Wandy uzyskiwały ratunek i pomoc także w innych szpitalach rzymskich, np. bonifratrów (operacje, przeszczepy).

Zaangażowanie pani Wandy w sprawy Polski i KUL-u trwa do dzisiaj, niemniej jego apogeum przypadało na lata osiemdziesiąte XX wieku. Po roku 1989 jej polska misja nie była już tak intensywna i nieodzowna. Od tej pory cała aktywność pani Wandy koncentruje się na szerzeniu wizerunku i kultu błogosławionego Pier Giorgia Frassatiego, zarówno we Włoszech, jak i na całym świecie, w tym w Polsce (np. budowa kościoła pod jego wezwaniem w Lublinie). Wcześniej, przez wiele lat czyniły to we dwie, razem z matką Lucianą, która zmarła w 2007 r., w wieku 105 lat. Pier Giorgio, po wcześniejszym ogłoszeniu dekretu o jego heroicznosci cnót, beatyfikowany został przez papieża Jana Pawła II w 1990 r. Niebawem stał się patronem młodzieży akademickiej, a jego obraz zawieszono na ścianie kościoła akademickiego KUL.



Spotkanie z Wandą Gawrońską w Rzymie podczas prezentacji książki M. Surdackiego (28.04.1999 r.)

Związki Wandy Gawrońskiej z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Jana Pawła II są bardzo silne i ponadczasowe. W wymiarze materialnym i ziemskim przejawiają się w postawie dobroczyńcy, w wymiarze eschatologicznym w protekcji duchowej i orędownictwie jej Błogosławionego Wujka. Przypomnieć należy, że stworzonemu przez siebie towarzystwu przyjaciół tej uczelni nadała imię Pier Giorgia, w którego intencji corocznie w maju sprawowana jest msza święta w kościele akademickim. Wanda Gawrońska wielokrotnie odwiedzała ulubiony uniwersytet. W uznaniu jej osiągnięć i zasług została uhonorowana przez najwyższe władze naszej uczelni, otrzymując w 1988 r. Medal za Zasługi dla KUL-u, który przed nią otrzymali papież Jan Paweł II i prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński.

We wrześniu 2015 r. odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie promocja książki Krystyny Kalinowskiej i Jacka Moskwy *Frassati Gawrońscy. Włosko-polski romans*. Uroczystość, w której miałem zaszczyt uczestniczyć, zgromadziła blisko tysiąc gości i przyjaciół – ludzi kultury, nauki, polityki (parlamentarzyści, premierzy,

dyplomaci). Podobne spotkanie można by zorganizować również u nas. Spośród licznych środowisk i instytucji wspieranych i obdarowywanych przez panią Wandę, Katolicki Uniwersytet Lubelski był zawsze najważniejszy i najbliższy jej sercu.

Trudno wyczerpać listę zasług Wandy Gawrońskiej dla Polski. Gdy władze komunistyczne – tłumacząc się brakiem funduszy, odmówiły transmitowania 22 października 1978 r. mszy świętej inaugurującej pontyfikat Jana Pawła II, m.in. interwencja pani Wandy u ministra Antonio Bisaglie spowodowała załatwienie darmowej transmisji. Na podobne interwencje we włoskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych mogli też zawsze liczyć wszyscy jej stypendyści przy zdobywaniu wiz. Ponadto bardzo mocno związała się z założoną w 1983 r. Szkołą Historyczną Włosko-Polską w Rzymie przy Instytucie Luigi Sturzo (*Scuola Storica Italo-Polacca*), która przyznawała dwuletnie stypendia dla trzech młodych polskich naukowców. Wśród nich zawsze był przynajmniej jeden pracownik z KUL (także ja), którym pani Wanda nigdy nie odmawiała stancji.

W działalność na rzecz Polski włączało się w mniejszym czy większym stopniu całe rodzeństwo rodziny Frassatic-Gawrońskich. Trudno policzyć, jak wielu naszych rodaków doznało hojności i różnego typu wsparcia ze strony trzech sióstr Wandy. Z kolei najmłodszy z rodu Jaś Gawroński, dzięki pozycji i karierze polityczno-dziennikarskiej oraz wielkiej popularności w świecie, rozsławiał ojczyznę swego ojca już samym nazwiskiem, kojarzonym i identyfikowanym zawsze z Polską, nie licząc rzeczywistej jego propolskiej aktywności. Był on m.in. korespondentem RAI w Moskwie, Nowym Jorku, Paryżu i Warszawie, rzecznikiem rządu premiera Silvio Berlusconi, wieloletnim deputowanym do Parlamentu Europejskiego. Był też inicjatorem rezolucji Włoskiej Partii Republikańskiej w parlamencie, zgłaszającej kandydaturę Lecha Wałęsy do pokojowej nagrody Nobla.

Nie mógłbym napisać tego tekstu bez podzielenia się osobistą refleksją. Od pierwszego spotkania (27 września 1980 r.) pani Wanda stała się jedną z najbliższych mi Osób, Przyjacielem, z którą do dzisiaj utrzymuję serdeczne i stałe kontakty. Dzięki niej przeżyłem mnóstwo niepowtarzalnych przygód i poznałem szereg wybitnych ludzi, łącznie z całą jej rodziną. Przez trzy miesiące mieszkalem z jej matką Lucianą w rodzinnym domu Frassatic w Pollone na przedgórzu Alp. Ukochana siostra Pier Giorgia, jedna z najwybitniejszych kobiet włoskich minionego wieku, całymi godzinami opowiadała mi o życiu Pier Giorgia, którego starałem się wtedy naśladować, chodząc np. jego szlakami na górę Nową Burcinę. Przebywałem i rozmawiałem w jego pokoju. Miałem szczęście jako jedyny Polak i jedyny człowiek świecki, nie licząc rodziny, lekarzy oraz ekspertów watykańskich, być obecnym wiosną 1981 r. przy przenoszeniu trumny Pier Giorgia z grobowca rodzinnego do cmentarnej kaplicy. Jako jeden z czterech mężczyzn niosłem tę trumnę na swych barkach tam i z powrotem. Po jej otworzeniu, w związku z procesem beatyfikacyjnym, zobaczyłem Pier Giorgia. Po ponad 50 latach od śmierci wyglądał jak żywy, a jego ciało o kolorze lekko woskowym było doskonale zachowane,

z wyraźnym uśmiechem na twarzy. Z okazji 100-lecia urodzin Pier Giorgia, na prośbę pani Wandy, opisywałem ten fakt kilkakrotnie w Radiu Watykańskim w audycjach dla Włochów i Polaków. Zmarły w wieku 24 lat włoski Błogosławiony był w mojej młodości wzorcem, a dzisiaj pozostaje osobistym orędownikiem. Przrzekłem sobie, że o tym heroicznym młodym człowieku miłosierdzia będę mówił zawsze na wykładach z historii opieki społecznej, co konsekwentnie czynię i czynił będę.

Papież Franciszek w swoim orędziu na tegoroczne Światowe Dni Młodzieży w Krakowie podaje młodym z całego świata bl. Pier Giorgia jako przykład osoby czyniącej miłosierdzie. Jego relikwie będą wystawione w Krakowie podczas ŚDM, a wcześniej również w Lublinie.

Moje osobiste kontakty z panią Wandą Gawrońską i jej rodziną zaczęły się podczas mojego pierwszego pobytu we Włoszech na rocznym stypendium w latach 1980–1981. Choć opisywane wydarzenia działy się już 35 lat temu, doskonale zachowały się w mojej pamięci.

Wiosną 1980 r., przed obroną pracy dyplomowej mój promotor pracy magisterskiej prof. Stanisław Litak zapytał mnie czy chciałbym wyjechać na stypendium zagraniczne. Było to dla mnie takim zaskoczeniem, że nie zastanawiając się, odpowiedziałem twierdząco. Po niedługim czasie profesor powiedział, abym przygotował dwa podania o stypendium, jedno do Paryża i na wszelki wypadek drugie do Rzymu. Zaznaczył jednak, że szanse na wyjazd do Włoch, w porównaniu do Francji, są minimalne. Po obronie pracy magisterskiej 20 czerwca 1980 r., w połowie lipca odbył się egzamin – konkurs, w wyniku którego otrzymałem czteroletnie stypendium doktoranckie. Miałem podjąć badania nad historią Żydów w Polsce, co jak później się okazało, w wyniku również opisywanych tutaj wydarzeń, nie nastąpiło. O złożonej propozycji wyjazdu zagranicznego, jako mało realnej, niejako zapomniałem, pozorując tylko naukę języka francuskiego.

Wielkie było moje zaskoczenie, gdy pod koniec sierpnia 1980 r. otrzymałem decyzję o przyznaniu mi rocznego stypendium we Włoszech, na które miałem stawić się w końcu października. Mój pobyt we Włoszech miał składać się z intensywnego, dwumiesięcznego kursu nauki języka włoskiego na Uniwersytecie dla Cudzoziemców w Perugii (*Università Italiana per Stranieri*) oraz stażu naukowego na Uniwersytecie *La Sapienza* w Rzymie pod przewodnictwem prof. Gabriele De Rosa. Ostatecznie do Wiecznego Miasta przyleciałem samolotem w dniu 27 października. Z lotniska taksówką udałem się pod wskazany adres *Centro Incontri e Studi Europei* przy Via Anicia 12. Nie zastałem jednak na miejscu fundatorki stypendium i prezesa czy prezydenta wymienionej instytucji pani Wandy Gawrońskiej. Oczekując w bibliotece *Centro* na jej przybycie, zauważyłem na biurku krótki otwarty list z moim nazwiskiem i imieniem od profesora Jerzego Kłoczowskiego z KUL-u do pani Gawrońskiej. Jego treść, gdy chodzi o sens, brzmiała mniej więcej tak: „Droga Wando. Skierowaliśmy tu do Rzymu młodego, dobrze zapowiadającego się historyka. Jeśli możesz, to postaraj się dla niego o dobry staż na uniwersytecie, może najlepiej u prof. Gabriele De Rosa. Pozdrawiam. Jerzy”.

Po około trzech godzinach oczekiwania usłyszałem doniosłe, piskliwe szczekanie psów, które wbiegły do *Centro*, a za nimi weszła dystygowana energiczna pani, która zrobiła na mnie wielkie wrażenie swym serdecznym, żywiołowym włoskim powitaniem, ale przede wszystkim oszałamiającą urodą. Okazało się, że była rówieśniczką mojej mamy, która zmęczona ciężką pracą na roli i niełatwym życiem, wydawała mi się wtedy, w wieku 53 lat, starszą osobą. Zastanawiałem się, dlaczego kobieta o tak nieprzeciętnej urodzie nie założyła własnej rodziny.



M. Surdacki i Jaś Gawroński na Zamku Królewskim w Warszawie (wrzesień 2015 r.)



Wanda Gawrońska i M. Surdacki

Na cztery dni pani Wanda zakwaterowała mnie u siostry Nelli w mieszkaniu na czwartym piętrze, przy Piazza Leonina, tuż przy Watykanie, z przepięknym widokiem na plac i bazylikę Świętego Piotra. Poznałem wtedy córkę moich gospodarzy Giorgianę, która nie mogła się nadziwić, gdy spożywałem zabrany ze sobą z Polski smalec. Dla niej był to produkt obrzydliwy, niejadalny, używany, jak stwierdziła, co najwyżej do celów przemysłowych. Ta piękna, bezpośrednia i radosna dziewczyna osiem lat później zginęła tragicznie. Pierwsze cztery dni w Rzymie przyniosły mi wiele wrażeń i przeżyć. Najważniejszym z nich było uczestnictwo w środowowej audiencji na placu Świętego Piotra. Następnie pani Gawrońska zabrała mnie na międzynarodową konferencję, w której uczestniczył między innymi wspomniany profesor J. Kłoczowski. Wtedy też poznałem bliżej redaktora polskiego wydania *Osservatore Romano* Stefana Frankiewicza, później długoletniego ambasadora przy Stolicy Apostolskiej. Miałem okazję również spotkać wybitnego intelektualistę i opozycjonistę, pisarza Zygmunta Kubiaka. Jego córka Monika była przez trzy dni moim *Cicerone*, pokazując mi najważniejsze „zabytkowe perły” Rzymu (tam wszystko jest zabytkiem).

Po kilku dniach pobytu adaptacyjnego w Rzymie pojechałem pociągiem do Perugii, gdzie odbyłem bardzo efektywny kurs nauki języka włoskiego. Pani Wanda, wykorzystując swe „omnipotencje” znajomości, w tym studenckiego ruchu uniwersytecko-religijnego *Comunione e Liberazione* („Komunia i Wyzwolenie”), poleciła mi protekcji młodych studentów, którzy czekali już na mnie na dworcu kolejowym. Przyjechali po mnie we czworo samochodem, a następnie zabrali do mieszkania (nazywali to pensjonatem), które wynajmowali. Byłem dla nich wielką atrakcją, jako rodak dopiero co wybranego papieża Jana Pawła II, który ich fascynował. Po spożyciu kolacji, nie znając w zasadzie języka włoskiego, niemal do rana musiałem im odpowiadać na setki pytań, używając rąk, gestykulacji i słownika. Była to dla mnie znakomita praktyczna nauka języka. Po około tygodniowym pobycie wśród uroczych i serdecznych włoskich studentek i studentów musiałem się usamodzielnąć i zamieszkałem do Bożego Narodzenia na stacji, którą mi wynaleźli. Przez ponad półtora miesiąca uczęszczałem na uniwersytet na naukę języka.

Mieszkając u Włochów i przebywając wśród cudzoziemców na tyle skutecznie nauczyłem się nowej mowy, że po powrocie do Rzymu mogłem w miarę swobodnie korespondować z przyjaciółmi poznanymi w Perugii i porozumiewać się z włoskimi znajomymi, których z dnia na dzień przybywało. Do Rzymu wróciłem na dwa dni przed świętami i zamieszkałem

na osiem miesięcy w pięknym mieszkaniu siostry Wandy Gawrońskiej – Giovanni Gillardini w centrum miasta przy Vicolo del Mal Passo koło Piazza di Fiori. Często spotykałem się tam z siostrą Pier Giorgia Frassatiego, Lucianą Frassati-Gawrońską.

Gdy przybyłem do Rzymu w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, czułem pewien smutek, gdyż po raz pierwszy w życiu święta miałem spędzić poza rodziną. Pani Wanda zaradziła jednak szybko mojej nostalgii i zaprosiła mnie na wigilię do swojej rodziny. Czekać z niecierpliwością na ten moment, wybrałem się po południu na spacer w okolice Watykanu. Przechodząc koło domu polskiego na Via Pfeifer, nie mogłem uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczyłem autokar ze znajomymi studentami z KUL-u, a wśród nich dziewczynę, która nie była mi obojętna. W tej sytuacji zrezygnowałem z zaproponowanej mi wieczery w rodzinie Gawrońskich, a wieczór wigilijny spędziłem w gronie znajomych z Lublina, z którymi wybrałem się na nocną pasterkę. W drugie wielkie święta, w Niedzielę Wielkanocną gościłem już jednak w mieszkaniu Wandy Gawrońskiej przy bazylice Santa Maria Intrastevere. Miałem okazję siedzieć przy wspólnym stole między innymi z ks. Adamem Bonieckim, Stefanem

Frankiewiczem, i o ile pamiętam publicystą i dziennikarzem Stefanem Wilkanowiczem.

Pierwsze półrocze 1981 r. upłynęło mi na uczestnictwie w wykładach i seminariach mojego włoskiego mentora prof. Gabriele de Rosa. W ich trakcie zaprzyjaźniłem się z obecnym dyrektorem RAI Lucio Brunellim oraz ówczesnym wykładowcą, dzisiaj arcybiskupem Vincenzo Paglia. Mając sporo czasu, bardzo często spotykałem się z panią Wandą. Bardzo lubiłem z nią rozmawiać i przebywać całymi godzinami w jej towarzystwie. A była po temu sposobność, bowiem godzinami przesiadywała w mieszczącej się obok *Centro* pracowni zaprzyjaźnionego z nią architekta Roberto de Luca, przygotowując materiały do beatyfikacji swego wuja Pier Giorgia. Dość często byłem przez nią zapraszany do baru czy restauracji na obiady i kolacje. Niekiedy posiłek spożywaliśmy w mieszkaniu na Via Titta Scarpetta u Roberto de Luki. Wtedy pani Wanda nauczyła mnie jeść pomidory, po raz pierwszy w wieku 26 lat. Ten fakt ciągle z dumą i radością przy każdej okazji mi przypomina.

Przez wszystkie siostry Gawrońskie (najmniej znałem wtedy Grację) i ich matkę Lucianę byłem traktowany niemal jak członek rodziny. W bardzo bogato wyposażonym mieszkaniu przy *Vicolo del Mal Passo* przez całe tygodnie mieszkalem sam, stając się niejako w tym czasie odpowiedzialnym za dom. Kilkakrotnie pani Wanda zabierała mnie do rodzinnej willi Frassatich w Pollone, gdzie urodził się i spędził dzieciństwo błogosławiony Pier Giorgio.

W kontekście kulinarnym przytoczę sytuację, o której opowiadałem często w formie humorystycznej. Chyba w czerwcu 1981 r. pani Wanda zaprosiła mnie wieczorem na kolację. Tymczasem po południu zebrało się kilka osób ze świata nauki, na pewno wśród nich była prof. Barbara Filarska oraz prof. Tadeusz Chrzanowski i jedna pani dr psycholog z Krakowa (chyba Bożena). Ta ostatnia w obecności wszystkich namawiała mnie, bym wybrał się z nią autostopem do Florencji. Nie będąc przekonanym czy chcę z nią przeżyć taką przygodę, odmówiłem pod jakimś pretekstem. Wtedy wtrąciła się pani Gawrońska, mówiąc „Panie Marianie, dlaczego się Pan boi, proszę jechać. Ja w pana wieku przejechałam z siostrą całą Amerykę”. Wtedy ja, myśląc partykularną perspektywą swojego rodzinnego podwórka i środowiska, w jakim żyła moja mama, z całą szczerością, spontanicznie powiedziałem „Ale jak to, czy wtedy były już samochody?”. Moje *faux pas* wzbudziło konsternację i zakłopotanie wszystkich obecnych. Na szczęście pani Wanda, choć kobieta światowa i doskonale znająca etykietę dobrego wychowania, rzekła: „Panie Marianie, gdybym Pana nie lubiła, to na kolację bym już Pana nie zabrała”. Ostatecznie wspólna kolacja się odbyła.

Panią Wandę Gawrońską traktowałem przede wszystkim jako wielką dobrodziejkę, która przez ufundowane stypendium otworzyła mi okno na świat i dała możliwość przeżycia niepowtarzalnej włoskiej przygody, która trwa do dziś. Czulem się wyróżniony przez los, gdyż dla młodego wtedy chłopaka, bez żadnego doświadczenia i dorobku, roczny pobyt za granicą w owych czasach, zwłaszcza w tak nobilitowanym (i elitarnym) środowisku,

był czymś o czym nie mogłem wcześniej marzyć. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie to przyniesie konsekwencje dla mojego przyszłego życia naukowego, ale także osobistego i rodzinnego. Panią Wandę traktowałem też wtedy niemal jako drugą swą matkę, która się o mnie troszczyła. Gdy w styczniu mocno zachorowałem i przez blisko dwa tygodnie nie wychodziłem z domu, pamiętam, że przynosiła mi pomarańcze, a nawet przygotowała coś do jedzenia. Nade wszystko była jednak dla mnie kobietą, która mi imponowała i umożliwiła poznanie Włoch i wielu wspaniałych ludzi.

O tym, że moja rzymska protektorka darzyła mnie sympatią i przychylnością świadczy inny fakt mający miejsce kilka dni później. Wraz z wymienioną wyżej Bożeną zostaliśmy zaproszeni na tydzień na Sycylię do letniej rezydencji Gawrońskich w Porto Rotondo. Popłynęliśmy razem statkiem z Civita Vecchia do Olbi. Wtedy zdradziłem się w rozmowie, że za bilet w obie strony zapłaciła pani Gawrońska. Gdy moja współtowarzyszka podróży zapytała, czy i ona mogłaby liczyć na podobne potraktowanie, usłyszała odpowiedź, że Marianowi bilet obiecała, natomiast ją tylko zaprosiła na kwaterek oraz wyżywienie. Podczas pobytu na Sycylii zdarzył się śmieszny epizod. Otóż ja wcześniej w rozmowach często wyrażałem zdziwienie, jak Włosi (także pani Gawrońska) mogą robić sobie w czasie poobiedniej sjeisty dłuższą lub krótszą drzemkę. Twierdziłem, że nie jestem w stanie w ciągu dnia zasnąć. Gdy po obiedzie, w upalny dzień, wszyscy udali się na zwyczajową drzemkę, nie wiedziałem co ze sobą zrobić, więc położyłem się na łóżku, nie myśląc o śnie. W pewnym momencie zapukała do mojego pokoju, już po poobiednim „rytuale” pani Wanda; okazało się, że usnąłem. Z czasem przekonałem się, że upał plus towarzyszące posiłkom wino, są w stanie „utulić” skutecznie każdego.

Nieco wcześniej w maju 1981 r. pani Wanda wraz z siostrą Giovanną, u której mieszkalem, zapytały mnie czy nie zechciałbym pojechać do letniej rezydencji rodziny Gillardini w Porto Ercole leżącym nad Morzem Tyrreńskim. Zostałem tam zawieszony i pozostawiony sam na około tydzień; mogłem korzystać z uroków morza i wyprawiać się na rowerowe wycieczki oraz podziwiać miejscowe pejzaże. Przy okazji poproszony zostałem o pomalowanie farbą wszystkich drewnianych żaluzji do okien i drzwi. Pracę wykonywałem solidnie, lecz bez zbytniego pośpiechu. Niemal w ostatniej chwili dowiedziałem się, że ma przyjechać do tego domu sędziwy nestor rodziny Jan Gawroński. Wydawało mi się, że był niewidomy lub widział niewiele. Mnie wziął za jakiegoś robotnika i był lekko zawiedziony, że się krzątam i nie w pełni uporządkowałem dom po wykonanej pracy. Robił wrażenie człowieka nieco zgorzkniałego i małowównego, przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, respektowania jego dyspozycji. Był już jednak schorowany i w wieku mocno zaawansowanym. Dodam jeszcze, że za wykonaną pracę dostałem wcale nie małą rekompensatę finansową, na którą nie liczyłem.

Widocznie wieść o moich praktycznych umiejętnościach rozniosła się w rodzinie Gawrońskich, bowiem pani Wanda i jej matka Luciana poprosiły mnie, bym

jeszcze raz pojechał w wakacje do Pollone i zajął się odnawianiem i porządkowaniem potężnej willi. Był jednak problem, ponieważ z końcem czerwca kończyło mi się stypendium, a zwłaszcza termin ważności wizy. Nielegalne przedłużenie pobytu za granicą w tamtych czasach mogło zablokować przyszłe wyjazdy do Włoch. Ostatecznie uległem namowom rodziny Gawrońskich i postanowiłem wyjechać do Pollone. W zamian za to pani Wanda obiecała przyznać mi jeszcze jedno, tym razem miesięczne stypendium języka włoskiego w Perugii, na czym mi bardzo zależało, gdyż chciałem wrócić do Polski z dobrą znajomością włoskiej mowy.

Miesiąc lipiec w Pollone wypełniony był bardzo intensywną pracą, trwającą od rana aż do zmierzchu. Moim zadaniem było wyczyszczenie, a następnie pomalowanie lakierem dużych ram okiennych. Była to praca niebezpieczna i skomplikowana, ponieważ demontaż ciężkich okien na wysokości, jak i ich ponowne osadzenie wykonywałem zupełnie sam. Oprócz tego zajmowałem się innymi pracami porządkowymi. Zlecała je pani Luciana, która towarzyszyła mi tam przez cały miesiąc. Na początku często używała w stosunku do mnie zwrotów „Panie Michale” czy „Panie Marcinie”. Bardzo mnie jednak polubiła i ceniła moje zaangażowanie. Mówiła, że ostatnio miała kilku pracowników lecz szybko z nich rezygnowała z uwagi na brak chęci i umiejętności do pracy. Wypowiedzi te były komplementem, zobowiązującym do jeszcze większych starań i intensywniej pomocy. Bo pracę tę traktowałem nie zarobkowo, lecz jako formę wyrażenia wdzięczności i podziękowania za otrzymane dobro.

Pobyt w Pollone umożliwił mi nawiązanie bliskiej więzi z siostrą Pier Giorgia, która opowiadała mi o wszystkich szczegółach jego niezwykłego życia. Miałem nieodparte wrażenie, że czasem widzi we mnie pewne cechy swego brata. Gdy na dzień przed powrotem do Polski (14 września 1981 r.) wyprałem kilka dopiero co zakupionych we Włoszech koszul (w Polsce takich nie było), chciałem użyć do suszenia plastikowych wieszaków. Pani Luciana bardzo nalegała, bym wziął stare drewniane wieszaki, pamiętając zapewne jeszcze czasy jej dzieciństwa i życia Pier Giorgia. Powiesiłem na nich mokre koszule, a gdy wyschły, na wszystkich z nich pojawiły się trwałe brązowe plamy po starych wieszakach. Staralem się nie ujawniać swojego rozczarowania i ukrywanej złości, jednak musiały być one wyczuwalne. Pani Luciana wyrzekła wtedy słowa, które brzmią mi w uszach do dziś: „Pier Giorgio by się tym tak nie przejmował”.

Wspólne przebywanie z Lucianą Frassati-Gawrońską pozwoliło mi poznać jej niełatwą i surową filozofię życia, charakterystyczną w pewnym sensie dla całej rodziny. U jej podstaw leżało spartańskie wychowanie i wysokie wymagania stawiane zarówno sobie, jak i innym. Ciągła aktywność i pracowitość to cechy, które u niej dostrzegłem w czasie naszej wspólnej pracy. Mówię w wspólnej, bowiem podczas gdy ja zajęty byłem swoimi obowiązkami, pani Luciana ciągle była czymś zajęta i nie próżnowała: pisała teksty, wykonywała porządkowe prace fizyczne, nieraz dość ciężkie (w piwnicach). A miała wtedy 79 lat. Czyniła to także w niedzielę i mnie również do tego zachęcała. Gdy powiedziałem, że według naszego zwyczaju w dni

święteczne się nie pracuje, wtedy stwierdziła, że po dopełnieniu mszy niedzielnej dalej można świętować przez pracę. Choć sam pracowitości nie mogę sobie odmówić, taka postawa i taki pogląd wydawał mi się wtedy trochę „rewolucyjny”. Uważała, że człowiek od najmłodszych lat winien się hartować. Tak też wychowywała swoje dzieci, które po przebudzeniu w rozgrzanej pościeli, obowiązkowo musiały zaliczyć krótką kąpiel w zimnej wodzie. Zalecała to również czynić mnie; nawet po ciężkiej pracy według niej należało wykapać się w zimnej wodzie. Nie chodziło tu o oszczędzanie ciepłej wody, a o hartowanie ciała i charakteru.

Luciana Frassati-Gawrońska nie wyobrażała sobie, bym przez dalsze miesiące nie pozostał w Pollone. Proponowała mi tam pozostanie na dłużej, jeśli nie na stałe. Była to sugestia i propozycja bardzo racjonalna, ponieważ w latach fermentu społeczno-politycznego w Polsce mało kto wyjechawszy z kraju, do niego powracał. Ja jednak trwałem przy swoim, i domagałem się wyjazdu do Perugii, a następnie zamierzałem powrócić do mojej dużej ojczyzny i tej małej – Urzędowa, w szczególności do Bęczyna. Ostatecznie doszło do „kompromisu”, że pojadę w sierpniu na kurs językowy w ramach podarowanego mi przez panią Wandę stypendium, a następnie wrócę we wrześniu do Pollone w celu dokończenia rozpoczętych prac. Tak też się stało.

Po przyjeździe do Perugii zacząłem uczęszczać oficjalnie na zajęcia. Kiedy chciałem zapłacić za kurs i dokonać koniecznych czynności administracyjnych, chociażby wyrobić legitymację uprawniającą do stołówki akademickiej, zażądano ode mnie paszportu, w którym nie było aktualnej wizy. Natychmiast zostałem odesłany do ważnego urzędnika, który zamierzał poinformować o tym policję. Zacząłem prosić, by tego nie czynił, wyjaśniając, że zostałem dłużej we Włoszech na prośbę pani Wandy Gawrońskiej. Gdy padło to nazwisko, okazało się, że są oni przyjaciółmi. Zadzwoił wtedy do pani Wandy, która wybroniła mnie przed poważnymi konsekwencjami, może deportacją. Dostojnik ów jednak powiedział, bym nie rejestrował się w uczelni, a najlepiej zniknął. Ja jednak zatrzymałem się w Perugii w akademiku, korzystając z wcześniej zawartych jesienią poprzedniego roku przyjaźni. Przebywałem tam miesiąc, nieoficjalnie chodząc na zajęcia, zwłaszcza wykłady, na których nie sprawdzano obecności i innych danych osobowych.

Do Pollone, zgodnie z umową, wróciłem w końcu sierpnia, by dokończyć najbardziej pilne prace. Musiałem wrócić do kraju przed rozpoczęciem roku akademickiego 1981/1982, jako że miałem rozpocząć pierwszą moją pracę zawodową ze studentami na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Wspomnienia o pani Wandzie Gawrońskiej i jej rodzinie pisane były w pośpiechu, na potrzeby szybkiej publikacji, są więc bardzo powierzchowne. Być może w przyszłości będę mógł opisać je z większą kronikarsko-fotograficzną szczegółowością. Późniejsze kontakty z panią Wandą opiszę w następnym numerze „Głosu Ziemi Urzędowskiej”.